

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr 1 (43)

Jerozolima, 1 stycznia 1945 r.

Rok III

W numerze:

B. Zipper: Przyczynki do zagadnień bałkańskich. — A. Bregman: Instrument pokoju czy — uspokajania? — I. Kleszczyński: Bitwa o Polskę w Apeninach. — S. Kościakowski: Wspomnienia sprzed 35 lat. Przyczynek do życia metropolity Szeptyckiego. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych. — I. Kejlin: „Jak Feniks z popiołów...” — J. Jasieńczyk: Strach. — Wśród książek. Summer Welles. 1300 klasyków. — H. S. Dominik: Opinie angielskie. — E. Mieroszewska: Literatura Francji zwycięska wychodzi z podziemi. — ww.: Przegląd polityczny. — Poezje niemieckie A. Krzewiny. — Plany Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. — Z prasy obcej. Perspektywy wojny z Japonią.

PO DYSKUSJI W IZBIE GMIN

W ponurym nastroju prowadziła Izba Gmin dyskusję na temat Polski. „Smutne refleksje budzą się, kiedy się pomyśli, że po pięciu latach walk i wojny, do której wstąpiłszyśmy dla obrony niepodległości Polski, Izba Gmin prowadzi debatę, czy Polska w ogóle ma być państwem” — od takich słów rozpoczął swoje przemówienie poseł Ivor Thomas z Partii Pracy.

Mowa premiera Churchilla nie stanowiła dla nas niespodzianki. Premier brytyjski powtórzył w niej te swoje poglądy, które znamy z jego — pamiętnej dla nas — mowy z dnia 22 lutego. Można je ująć krótko: Polska powinna stracić na rzecz ZSRR 47 procent swego przedwojennego terytorium. Straty te mogą być rekompensowane zwiększeniem terytorium państwa polskiego od zachodu i północnego zachodu. W precyzowaniu tych rektyfikacji granicznych premier Churchill był bardzo powściągliwy: wspominał tylko, że Polska może otrzymać Prusy Wschodnie na zachód od Królewca oraz iż Gdańsk zostanie po wojnie wcielony do Polski. Nie mówił, jak daleko mogłoby pójść rozszerzenie terytorium państwa polskiego na zachód; wołał, aby tutaj sugestie wyszły ze strony polskiej. Wreszcie — mowa nie przynosiła żadnych brytyjskich zapewnień gwarancji suwerenności i prawdziwej niepodległości państwa polskiego po wojnie.

Ten punkt ma dla nas szczególne znaczenie. Wcale nie przypadkowo premier Arciszewski w wywiadzie, udzielonym korespondentowi *Sunday Times*, jako pierwszy z czterech punktów, w które ujął spór polsko-rosyjski, wysunął sprawę „gwarancji przywrócenia wolnego, suwerennego i niezależnego państwa polskiego”.

Jest to dla nas sprawa podstawowej wagi. Slepota bowiem byłoby się tu łudzić: Polska, jaka wyjdzie z tej wojny, będzie Polska słabą. Ogromnisze wojenne, którym nie ma jeszcze końca (przecież front przebiega w tej chwili przez sam środek terytorium Polski), potworne straty w ludności cywilnej, piatiletka systematycznego i bezwzględnego łupienia kraju przez Niemców, niedożywienie ludności — wszystko to są czynniki, które muszą poważnie wpłynąć na znaczne osłabienie przyszłego państwa polskiego, i wszystko to są koszty wojny, za które jeszcze długie dziesięciolecia będą płaciły.

Dlatego właśnie Polska musi szukać takich rozwiązań politycznych, któreby sprawiały, że nie będzie ona zdana na łaskę i niełaskę potężniejszego sąsiada.

Rozwiązania takie mogłyby być rozmaitego typu. Najpewniejszą gwarancją byłoby tu stworzenie federacji państw międzymorza środkowo-europejskiego, które to państwa, za słabe na to, aby każde z nich w pojedynkę mogło zapewnić sobie w sposób skuteczny niezależność, zapewniłyby sobie tę niezależność wspólnie. Rozwiązanie takie byłoby dla nas optymalne, dlatego jesteśmy do niego najbardziej przywiązani uczuciowo. Niestety jednak, trzeba to sobie powiedzieć otwarcie, że nie ma zupełnie przesłanek w dzisiejszej sytuacji politycznej, któreby pozwalały myśleć o takiej federacji jako o rozwiązaniu realnym. Wszyscy zdajemy sobie dzisiaj sprawę z tego, że przy takim układzie sił, jaki w tej chwili istnieje, projekty federacyjne są utopią. Bar- do być może, iż mężowie stanu państw Europy środkowej będą sobie w przyszłości gorzko wyrzucali, iż nie byli na tyle dalekowzroczni i nie starali się urzeczywistniać planów federacyjnych wtedy, kiedy to było możliwe. Nie zmieni to jednak zasadniczego faktu, że w tej chwili są one zupełnie nierealne.

Gwarancją niepodległości naszej byłoby również, gdyby związana ona była ze sprawą ogólnego bezpieczeństwa i gdyby na straży jej — podobnie jak i na straży niepodległości innych „mniejszych” państw — stała wyposa-

zona w odpowiednie sankcje powszechna organizacja tego bezpieczeństwa. Siła w świecie, które prą do stworzenia takiej właśnie organizacji, jest dużo. Są to przede wszystkim społeczeństwa tych wszystkich t. zw. „mniejszych” państw, które chcą być pełnoprawnymi panami swoich losów, obywatelami państw suwerennych, względnie państw, któreby na równych prawach z innymi zrzędnowały z części swojej suwerenności, a którym wcale się nie uśmiecha rola biernego przedmiotu polityki wielkich mocarstw. Zresztą i w szeroko-kożach swobodnej opinii publicznej tych wielkich mocarstw panuje przekonanie, że tylko taka organizacja, wyposażona w odpowiednio sprawna władzę wykonawczą, może być naprawdę skuteczną obroną przeciwko przyszłym napastnikom i przeciwko rozpętaniu przyszłej wojny. Do niedawna tłumaczono nam, że załatwienie sprawy bezpieczeństwa świata w inny sposób: drogą oddania go pod straż trzech potężnych i uzbrojonych żandarmów, jest rozwiązaniem najprostszym i najmniej kłopotliwym. Wielbicieli *Realpolitik* zachwycali się tą prostotą. Dziś jednak wypadki polityczne — przynajmniej w obrębie jednej sfery wpływu — pokazują, że takie załatwienie sprawy bezpieczeństwa od siekiery i od bagnetu wcale nie jest ani proste, ani łatwe i że może ono wywołać w świecie takie napięcie niezadowolenia i poczucia krzywdy, iż stale będzie groziło wybuchem tych sił oporu i stale będzie stwarzało doskonałe warunki dla tych wszystkich, którzy chcieliby łowić ryby w mętnej i wzburzonej wodzie. Oczywiście, może kto na to odpowiedzieć, że takich amatorów wśród możliwych przyszłego świata nie będzie, nam jednak tego rodzaju założenie wydaje się dużo, ale to dużo bardziej utopijne od możliwości stworzenia wyposażonej w silną władzę wykonawczą nowej Ligi Narodów.

Przekonanie, że powszechna i silna ponadpaństwowa organizacja bezpieczeństwa jest

nie tylko najpewniejszą, ale i jedyną organizacją, która mogła naprawdę zapewnić pokój, jest bardzo w świecie rozpowszechniona, w tej chwili jednak nie zapowiada tego, aby w najbliższej przyszłości organizacja taka mogła powstać. Rezultatów konferencji w Dumbarton Oaks nie można określić inaczej, jak tylko jako zupełne fiasco. Jej zalecenia to tylko parawan dla niczym nie krępowanej polityki ekspansji wielkich mocarstw. Już zresztą po tej konferencji narodził się sojusz wojenny francusko-sowiecki, który jest typowym dwustronnym sojuszem wojennym dawnego typu i który po prostu nad zaleceniami konferencji w Dumbarton Oaks przeszedł do porządku, nie spiaczwszy im nawet elementarnej kurtuazyjnej daniny. W tej chwili jedyną siłą decydującą w stosunkach międzynarodowych są trzy wielkie mocarstwa sprzymierzone, i dlatego w tej chwili jedyną gwarancją niepodległości dla nas, mogącą mieć praktyczne znaczenie, byłaby gwarancja tych mocarstw. Jest to gwarancja dużo mniej pewna od wyżej omówionych, ale w tej chwili jedyna realna.

I oto tej gwarancji również się nam odmawia. Państwa anglosaskie uważają, że udzieliwszy nam takiej gwarancji, zaawanturowałyby się, zaryzykowałyby swoje bezpieczeństwo dla sprawy — niepewnej.

W tej chwili więc jedynym elementem, na którym każe się nam przyszłość państwa polskiego budować, to zaufanie w dobrą wolę Rosji, a jedyną gwarancją naszej niepodległości mają być słowa marsz. Stalina, iż pragnie „silnej i niepodległej Polski”.

Czy świat ma prawo od nas takiego zaufania wymagać? Czy dotychczasowa polityka ZSRR wobec Polski upoważnia do budowania gmachu państwowości polskiej na fundamencie takiego zaufania?

Przypomnijmy tylko kilka najcharakterystyczniejszych dla tej polityki faktów.



WŁADYSŁAW SKOCZYŁAS :
Wojna

Jeden z nich to stworzenie lubelskiego Komitetu. Nikt w świecie nie ma wątpliwości co do tego, że jest to komitet marionetek, które mogą reprezentować tylko swojego mowcę. Wśród członków Komitetu nie ma ani jednego z wybitniejszych przywódców politycznych wielkich polskich partii politycznych. Członkowie Izby Gmin, zabierający głos w dyskusji, wyraźnie stwierdzali, że sobie z tej niereprezentacyjności Komitetu doskonale zdają sprawę. Nie było wśród nich ani jednego, któryby oświadczył, że lubelski Komitet reprezentuje jakieś poważniejsze odzamy społeczeństwa polskiego. Odpowiedź, udzielona Drobnerowi przez socjalistów amerykańskich, ma również swoją wymowę. Wreszcie premier Churchill, wysuwając argument zagrożenia Armii Krajowej na wypadek niedojścia porozumienia do skutku, zakładał tym samym jako rzecz samą przez się zrozumiałą, iż Armia Krajowa znajduje się pod rozkazami Rządu w Londynie. Jesteśmy w tym paradoksalnym położeniu, że podczas gdy wszędzie indziej wybuchają konflikty między kierownictwem ruchów oporu a rządami, które muszą pójść na emigrację, my jedyni mamy rząd, w pełni dysponujący naszym ruchem oporu i — którego się do kraju nie dopuszcza.

Sprawą bardzo bolesną, a na pewno nie mogącą wzbudzić w nas zaufania, była uporczywa odmowa rosyjska udzielenia baz samolotom alianckim, któreby dostarczały pomocy powstańcom warszawskim, walczącym przeciw zę wspólnym wrogiem.

W czasie piątkowej dyskusji posłanka Rathbone oświadczyła — cytując według depeszy PAT'a: — „Wielka liczba Polaków i osób innych narodowości została zesłana przez Rosjan do odległych obszarów ZSRR. Jeśli Rosjanie nie mają się czego wstydzić, to czemu nie zezwalają przedstawicielom uznanych filantropijnych organizacji na skomunikowanie się z zesłanymi”.

„Wiadomo, że — cytuję w dalszym ciągu posłankę Rathbone — jak dotychczas ZSRR nie udzielił odpowiedzi na prośbę UNRRA, która domaga się zezwolenia na wysłanie delegacji i środków pomocy do części Polski, zajętych przez Rosjan”. — Czy sytuacja, która sprawiła, że interpelacja taka była potrzebna, jest sytuacją, wzbudzającą zaufanie?

Wszystko to prawda, odpowiedzą nam. Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych niejednokrotnie dawały wyraz swojemu przekonaniu, że załatwienie sporów granicznych powinno być odłożone aż na czas powojenny i że spory te powinny być załatwiane na przyszłej konferencji pokojowej. Ze jest to jedyna słuszna procedura. Stwierdził to także w swym ostatnim przemówieniu premier Churchill, ale — argumentował — odłożenie na po wojnie polsko-sowieckiego sporu granicznego może grozić w najbliższej już przyszłości, kiedy Armia Czerwona posunie się na ziemiach polskich dalej na zachód, tragicznymi konsekwencjami dla Polskiej Armii Krajowej.

Argument ten jest poważny. Ale czy sytuacja, w której trzeba się uciekać do takich argumentów, jest sytuacją, na której gruncie można budować wzajemne zaufanie?

Czyż trzeba raz jeszcze przypominać, że uważamy przyjazne ułożenie polsko-sowieckich stosunków sąsiedzkich za podstawowe wymaganie polskiej racji stanu? Ale ku ogromnemu swemu żalowi stwierdzić musimy, że w dotychczasowej polityce sowieckiej nie widzimy budulca dla takich dobrych stosunków sąsiedzkich. Stosunek między ZSRR a lubelskim Komitetem to — jak to już ze strony angielskiej raz określono — nie stosunek między dwoma równoprawnymi kontrahentami, ale między panem a lokajem. Dla takiej zaś roli Komitet lubelski jest nie tylko że najodpowiedniejszym ciałem. Jest jedynym ciałem odpowiedzialnym.

BERNARD ZIPPER

Przyczynki do zagadnień bałkańskich

Balkan i „balkanizacja” są to zagadnienia bardzo złożone i w swoim napięciu nader kranicowe. Dotyczy to wszelkich problemów politycznych, narodowych, kulturalnych, wyznaniowych, antagonizmów wewnętrznych, „wpiwów” (penetracji polityczno-gospodarczej obcych mocarstw oraz ich wzajemnej rywalizacji), jak i samej przyrody, czyli rzeźby terenu, zjawisk klimatycznych, roślinności i fauny. „Balkan” — jako geopolityczne pojęcie jest określeniem płynnym, bez ściśle wyznaczonych lądowych granic naturalnych. Porównując Półwysp Bałkański z Półwyspem Iberyjskim lub Apenińskim, spostrzegamy, że już sama przyroda odgrodziła te dwa ostatnie obszary wysokimi górami oraz ich wzajemnej kontynentalnej Europy. Północno-lądową granicę Półwyspu Bałkańskiego wyznacza dolny bieg Dunaju i jego dopływ, rzeki Sawy. Wysokie góry (przedłużenie Alp, względnie łuku Karpat) przecinają natomiast Półwysp Bałkański w kierunku równoleżnikowym i utrudniają przejścia w kierunku północ-południe. W system gór zachodnich i wschodnich wciśniętą się system gór trackich (Pindus), które tworzą drugą zapórę komunikacyjną w kierunku z zachodu na wschód. Linie zapadłości rzeźby Półwyspu Bałkańskiego wyznaczają w kierunku południkowym rzeki Morawa, Wardar i Marica, i w ten sposób obszary bałkańskie uzyskują połączenie z morzem Czarnym, względnie Egejskim.

Jeżeli chodzi o lądowe granice poszczególnych krajów bałkańskich, to należy stwierdzić, że są one przypadkowe, kompromisowe i zazwyczaj narzucone przez traktaty pokojowe, zawierane przez meżów stanu mocarstw pozabałkańskich. Granice polityczne tych krajów nie pokrywają się wcale z dziejami i składem narodowościowym, ani też z gospodarczą i wyznaniową strukturą tubylczej ludności. Toteż antagonizmy między Albańczykami (czyli „Baskami” Bałkanu), ludnością ilirysko-tracką (gdzie pokutują po dziś dzień separatystyczne tendencje napoleońskiej prowincji *Illyricum*), przeciwstawia serbsko-chorwacko-słoweńskie, sławońsko-czarnogórsko-bośniacko-hercegowińskie, podobnie jak antagonizmy między Rumunami (zamieszkającymi na terenie „regatu”) a Mołdawianami, między „odwiecznymi” wrogami bratnich narodów Serbów i Bułgarów, między ludnością macedońską, z trzema lub nawet jeszcze dalszymi „orientacjami” narodowościowymi, wreszcie między Turkami, Rosjanami, Tatarami i t. d., i t. d., są ogromne. Ta mozaika ludnościowa o rozmaitych dążnościach politycznych, wyznaniowych i kulturalnych — wyrosła w znakomitej większości z warstwy chłopskiej. Generał, profesor uniwersytetu, nauczyciel wiejski, pop, minister i zwykły robotnik fabryczny — wszyscy oni wywodzą się z chłopstwa, dlatego tak głęboko przywiązani są do ojczystego zagonu, którego bronią z fanatyzmem.

Po upadku monarchii Habsburgów Dunaj (co do swej długości druga rzeka na kontynencie Europy) wraz z dorzeczem i kanałami śródlądowymi przekształcił się w międzynarodową arterię komunikacyjną o dalekim zasięgu, a dzięki taniości taryf przewozowych szlak ten nie tylko zaważył poważnie na losach konkurencyjnych systemów kolejowych, ale przyczynił się waleśnie do wzrostu obrotów morskich przez niemieckie porty, co więcej, do rozwoju niemieckiej bandery handlowej. Na terenie Rumunii — jeden duży most pod Cerną-Wedą, zaś na terenie Jugosławii — dwa duże mosty kolejowe przecinają dolny bieg Dunaju. W Giurgiu, nad Dunajem, kończy się rurociąg naftowy z Ploesti; okupanci niemieccy wybudowali podczas obecnej wojny drugi rurociąg z zagłębia naftowego Rumunii, który omija katarakty Żelaznej Bramy i kończy się w jakimś — bliżej nieznanym — porcie nadnaddunajskim, na zachód od wymienionego przemyślnika rzeczno-górnego (na pograniczu rumuńsko-jugosłowiańskim).

Dunaj posiada duże znaczenie transportowe. Według danych Międzynarodowej Komisji na Dunaju przewieziono w ostatnich latach przed wojną w obu kierunkach przewozowych tylko przez punkt rejestracji „Żelazna Brama” przeszło dwa miliony ton towarów rocznie (w dół rzeki: wytwory przemysłu i węgla, w górę rzeki: płody rolnicze, drewno, naftę i minerały, surowce dla krajów przemysłowych).

Ta prawdziwa rzeka „losu” ułatwia nie tylko wymianę towarową między krajami bałkańskimi a resztą Europy, ale ponadto przyczyniła się do rozszerzenia „przestrzeni życiowej” Trzeciej Rzeszy w kierunku południowo-wschodnim i ułatwiła agresję wojskową państw „osi” i ich satelitów.

Balkan stanowi dogodny pomost ku Małej Azji, a dzięki wyspom archipelagu Egejskiego tworzy on naturalne przejście między kontynentem europejskim a afrykańskim, względnie krajami Dalekiego Wschodu (kanał Suezki).

Kraje bałkańskie posiadają zatem kluczowe znaczenie w komunikacji między czterema kontynentami.

Przechodząc do kwestii wewnętrzno-politycznych poszczególnych krajów, warto przypomnieć, co następuje:

a) **Zagadnienie macedońskie.** Błędne jest mniemanie, że każdy Macedończyk przechowuje w kieszeni bombę własnego wy-

robu, zaś w głowie rewolucyjne idee, tak że boje, staczane przez poszczególnych „terrorystów”, posiadają znamiona nieskoordynowanej, indywidualnej walki podziemnej. Tak nie jest! Walka przeciw „legalnie narzuconym okupantom” zagnana została wprawdzie w podziemie, niemniej kierownictwo tego ustawicznie trwającego boju jest doskonale zorganizowane na zasadach paramilitarnych. Organizacja bierze swój początek w r. 1893, kiedy dwóch patriotów bułgarsko-macedońskich zakłada tajną organizację I.M.R.O. (*International Macedonian Revolutionary Organization*), pod hasłem „Wolność lub śmierć dla Macedonii”. Hasło to obowiązuje szereg komitetów, działających, w sposób mniej więcej konspiracyjny, głównie wśród studentów — Macedończyków, studiujących zagranicą; komitety te, o charakterze wybitnie patriotycznym, — znane są pod nazwą *Pro-Macedonia*. Czy kwestia macedońska dozna w najbliższej przyszłości uspokojenia, — nawet przy najdalej posuniętej „autonomii federalnej” (plany marszałka Tito), to jest jeszcze pod znakiem zapytania.

b) **Zagadnienie bułgarskie.** Jeżeli chodzi o polityczne orientacje ludności bułgarskiej, to stwierdzić można, że ludność tego kraju (około 6 milionów mieszkańców) jest na ogół politycznie dobrze uswiadomiona, niemniej odróżniamy tam cały szereg „orientacji”. Podobno król Borys w r. 1940 powiedział: „Moi generałowie mają nastawienie pro-niemieckie, moi dyplomaci — probrytyjskie, królowa — prowłoskie, mój zaś naród — pro-rosyjskie; ja jedyny w Bułgarii posiadam orientację — neutralną”. Opinia — za wyjątkiem może osoby samego zmarłego króla — wydaje się być na ogół trafna, chociaż prorozyjska orientacja wykazuje wszystkie odcienie, od panslawizmu aż po komunizm... Propaganda niemiecka, względnie rosyjska, która utrzymuje, że naród bułgarski pod względem swoich przekonań politycznych przedstawia zwartą bryłę monolitu, jest grubo przesadzona. Sfery handlowo-eksportowe utrzymują żywe stosunki z Trzecią Rzeszą, t. zw. *pro-gimnazjum i komercyjne uczuliszca* (niższe szkoły handlowe) w miastach prowincjonalnych kształciły swoich wychowanków kosztem języka francuskiego lub angielskiego — w języku niemieckim, nie mniej wyższe duchowieństwo bułgarskie pobierało za czasów carskich naukę w zakładach teologicznych Rosji; panny z „dobrych domów” chętnie korzystały z edukacji w arystokratycznych pensjonatach dla dziewcząt w Rosji, męska młodzież zaś jeździła zarówno na uniwersytety słowiańskie (a więc polskie, czeskie i rosyjskie), jak do Paryża i Berlina. Starsze pokolenie władza doskonale językiem rosyjskim. Ludność bułgarska opiekowała się chętnie „biażą” emigracją rosyjską, tym nie mniej popierała ona propagandę bolszewicką. Pamiętny był dzień 16 kwietnia 1925 r., gdy podczas żałobnego nabożeństwa, odprawionego ku czci zamordowanego dnia 14 kwietnia tego roku generała Georgiewa, — w katedrze św. Króla zwały się nagle sklepienia na skutek eksplozji podłożonych poprzednio bomb zegarów; rezultat: 150 zabitych, dużo rannych wśród wysokich dostojników reprezentacyjnego nabożeństwa, a w dalszym ciągu okropne represje ze strony rządu premiera Zankowa w kołach „podejrzanym”, czyli komunistów. Poprzednik Zankowa, przywódca partii chłopskiej, Aleksander Stamboliński, który zamierzał zlikwidować konflikt jugosłowiańsko-bułgarski w sposób pokojowy, został przez wysłanników macedońskiego I.M.R.O. w r. 1923 zamordowany. Podobny los spotkał wielu meżów stanu w tym kraju, nawskroś chłopskim, a tym niemniej odznaczającym się zaangażowaniem w antagonizmy polityczne. Należałoby zaznaczyć, że po zamordowaniu przywódców poszczególnych partii politycznych kwestie sporne dalej żyją jawnie lub prowadzą żywot w konspiracji. I tak spór o Dobrudżę, Macedonię, Dedeağaz i t. p. nie zniknie z wokandy problemów politycznych Bułgarii nawet wtedy, gdy dynastia koburska odejdzie i Bułgaria przekształcona będzie na republikę demokratyczną, na „wieki” zaprzyjaźnioną z sąsiednią Jugosławią.

c) **Zagadnienie Jugosławii.** Zamordowany przywódca chorwackiej partii chłopskiej, Stefan Radić, określił ongiś Jugosławie jako „Bałkan en miniature”. Charakterystyka ta odpowiada rzeczywistości przedwojennego królestwa jugosłowiańskiego, tego największego państwa bałkańskiego (247.542 km kwadr.), o ludności blisko 14 milionów mieszkańców. *Kraljevina Srba, Hrvta i Slovenaca* podzielona formalnie na 9 *Banovin* oraz „Prefekturę miasta stołecznego Belgrad”, otrzymała w dniu święta narodowego *Vidovdan*, t.j. 28 czerwca 1921 r. swoją pierwszą konstytucję, która następnie została zniesiona przez narzucenie drugiej konstytucji z dnia 3 września 1931 r.

Zjednoczone Królestwo — dzieło Aleksandra II, przy czynnej pomocy weterana dyplomacji serbskiej ancien régime'u, centralisty Nikoły Pasicia — nie doznało chwili pokoju obywatelskiego od momentu urodzin, t. j. od 1 grudnia 1918 r. Szczegóły tych konfliktów wewnętrzno-politycznych są na ogół dobrze znane, natomiast mniej zbadane są drogi podziemia, prowadzące z Berlina, Rzymu i Budapesztu do poszczególnych placówek obcych agentur, eskonowanych na ziemiach Kró-

lestwa. Nie jedno morderstwo, dokonane na przywódcach politycznego ruchu jugosłowiańskiego, kierowane było obcą ręką z ubocza... Po powodzeniach blitzów na terenie Jugosławii zwycięzcy ustalili „nowy ład”, dzieląc państwo na następujących dziewięć części:

- 1) północna Słowenia, — wcielona do Rzeszy,
- 2) południowa Słowenia, — wcielona do Włoch,
- 3) Baczka i Barania (Vojvodina), — anektowana przez Węgry,
- 4) „Królestwo Czarnogórskie”, — protektorat włoski.
- 5) Dalmacja (Primorie) — anektowana przez Włochy,
- 6) Chorwacja i Sławonia, — **zamieniona na „królestwo”**, na przyszłego króla tego państwa wyznaczono księcia Parmy; w rzeczywistości książę wioski ani razu nie odwiedził swego „królestwa”. Natomiast sprawował tam rządy przy pomocy bandy uzbrojonej (*ustaszy*) i ściśle według wskazówek Berlina, „kierownik nawy państwowej” z łaski Hitlera, kreatura chorwacka,
- 7) ziemie Banatu, — zarezerwowane do dyspozycji Trzeciej Rzeszy,
- 8) większy fragment Serbii wraz ze stolicą, — rządzony przez marionetkę „hachowca”, generała Nedicia i jego „ministrów”, — wreszcie —
- 9) południowa Serbia, — z wyjątkiem dwóch mniejszych powiatów, przydzielonych do „włoskiej” Albanii, — anektowana przez Bułgarów.

Po upadku faszystowskich Włoch — północna część Dalmacji została wcielona do „królestwa Chorwacji i Sławonii”. Dzięki postępowi armii partyzantów jugosłowiańskich, uzyskanych przy czynnej pomocy Czerwonej Armii i Aliantów, zaszły dalsze zmiany w opisanym „ładzie”. Bułgarzy opuścili tereny okupowane, wyzwolona została Serbia, a jugosłowiański „Hacha” skrył się gdzieś na terenie, opanowanym dotychczas przez swego patrona; części Bośni i Hercegowiny, całe wybrzeże morskie wraz z jugosłowiańskimi wyspami adriatyckimi zostały uwolnione od rządów Pavelicia i t. d.

Omówiona tu kilkuletnia parcelacja „Zjednoczonego Królestwa” wywrze niezawodnie ogromny wpływ na losy przyszłego państwa południowych Słowian. Perypetie jugosłowiańskiego rządu na emigracji, obfite ilości przesileni rządowych i posunięcia króla Piotra II, legalnej głowy państwa, zmierzające do restauracji monarchii pod dowództwem dynastii chłopskiej Karadjordjevićów, nie roją nadziei na powodzenie.

Sprawę współpracy ludności, zamieszkałej na terenie Jugosławii, utrudnia szereg „autorytatywnych” konfliktów, zaszłych w tonie dwóch armii krajowych, działających w interesie uwolnienia kraju z rąk okupantów i u-zurpatorów.

Początkowo wysunął się tu na czoło legendarny dowódca i twórca armii krajowej (*Cetniki*, nazwa historyczna, znana na terenie Serbii w ciągu pięciu stuleci, bo od XIV w.; były to oddziały serbskich chłopów-partyzantów, które prowadziły wojnę podjazdową przeciw najeźdźcom tureckim), Draža Michajłowicz.

Michajłowicz, syn nauczyciela wiejskiego, narodowości serbskiej, — bierze udział w wojnach swego kraju w latach 1912—1918, jest ranny i dekorowany, w r. 1930 — czynny jako profesor-wykładowca Akademii w Belgradzie, w następnych latach pracuje jako *attaché* wojskowy w Sofii, generał w służbie czynnej armii jugosłowiańskiej i t. d. Prowadził on walkę partyzancką przeciw wszystkim okupantom i otrzymywał czynną pomoc ze strony anglosaskich aliantów. Król Piotr mianował go ministrem wojny, — oczywiście z siedzibą w kraju. Niemcy czynili wszystko, aby go pojąć, rozpisując nawet nagrodę w wysokości 100.000 mk. w złocie za schwytanie go żywym lub martwym...

Nagle — w październiku 1941 r. pojawiają się wiadomości o utworzeniu komunistycznych kolektiwów w Užicach (wschodnia Serbia), w Bikaciu (Bośnia), Niksiciu (Czarnogóra) i innych miejscowościach. Zaczyna działać „Wolne jugosłowiańskie radio” z siedzibą w Tyflisie. W swoich audycjach występuje ono szczególnie ostro przeciw działalności gen. Michajłowicza i jego wojskom; przeciwnicy jugosłowiańscy odsądzają Michajłowicza od czci i wiary, mówią o nim, jako o sprzedawczyku interesów patriotycznych i t. d.

Na terenie Królestwa zawiązuje się „Komitet Wyzwolenia”, złożony rzekomo z reprezentantów wszystkich odłamów narodowościowych; komitet ten powołuje na stanowisko naczelnego wodza armii krajowej, Josipa Broz-Tito, mianując go zarazem marszałkiem tej armii. Co do osoby samego marszałka kursują rozmaite wersje. Przypuszcza się, że jego właściwe nazwisko brzmi Josip Broz-vashki, że jest on z pochodzenia robotnikiem i że brał jako ochotnik udział w wojnie domowej hiszpańskiej po stronie republikanów. Nazwisko Tito jest tylko przybrane *nom de guerre* i pochodzi prawdopodobnie od początkowych liter komunistycznej organizacji na terenie Jugosławii: *Treća Internacionalna Terroristička Organizacija*. W wywiadzie, udzielonym redakcji czasopisma *Free World*, stwierdza marszałek Tito, że jest z pochodzenia Chorwatem, a nie Rosjaninem.

Dalsze losy sporu Michajłowicz-Tito są na ogół znane. W maju ub. r. prem. Churchill oświadcza publicznie, że Michajłowicz nie walczy z nieprzyjacielem, wobec czego rządy alianckie popierają czynnie marszałka Tito. Król jugosłowiański rzekł się swego ministra wojny, a w dodatku Hitler ogłasza nową nagrodę na głowę marszałka Tito w wysokości 100.000 mk. w złocie.

Jest sprawą więcej niż pewną, że dobrowolny zaciąg partyzantów do armii Tito jest znacznie większy niż do armii Michajłowicza. Z tego faktu możnaby było wysnuć wniosek, że społeczeństwo jugosłowiańskie hołduje poglądom komunistycznym i godzi się na kolektywizm rolnicze w rodzaju kołchozów i t. p. W rzeczywistości tak nie jest. Siła atrakcyjna nazwiska Tito w kraju polega przede wszystkim na tej okoliczności, że jest on Chorwatem, a tym samym może obronić większość mieszkanców Jugosławii od zakusów centralistycznych serbskich meżów stanu, dawnego reżimu (Pasić, gen. Živković, Stojadinović i t. d.).

Michajłowicz natomiast reprezentuje stary reżim centralnego rządu serbskiego i tym samym zwalcza wszelkie dążności separatystyczne, nawet w ramach samorządu regionalnego. „Komitet Narodowy dla Oswobodzenia Jugosławii”, składający się z 56 członków, — na czele z drem Ivanem Ribarem (Słoweńcem) i z leaderem wojskowym Josipem Tito (Chorwatem), — proklamuje państwo federacyjne, złożone z równouprawnionych członków (Chorwacja, Serbia, Słowenia, Czarnogóra, Macedonia, Bośnia i Hercegowina). Komitet uwzględnił wyraźnie prawa poszczególnych narodów — ba, nawet poszczególnych grup etnicznych, — do własnego życia narodowego! I ta nacjonalistyczna obietnica zwyciężyła wobec ekskluzywnej doktryny, głoszonej przez serbski naród-gospodarzy!

Ludność jugosłowiańska — to ludność wiejska, rolnicza i do ludności tej, uświadomionej narodowo, komunizm nie docierał. Ludność ta była zorganizowana na zasadach spółdzielczości, zaczerpniętych z praworów serbskiej kooperatywy rodzinnej, t. zw. „zadrugi”. Z tego załączka historycznego powstawały nowoczesne kooperatywy rolnicze, związki rewizyjne i t. d. Współdzielczość systemu jugosłowiańskiego posiada wszelkie znamiona indywidualnej własności ziemskiej i jest tak zakorzeniona w umysłach tubylczej ludności, że trudno sobie wyobrazić, aby jakkolwiek krajowa władza mogła wywłaszczyć 80% dobrze zorganizowanej ludności, wychowanej od wieków w tradycjach „zadrugi”.

W związku z powyższym tematem warto wspomnieć, że jeszcze za życia zamordowanego przywódcy bułgarskiej partii chłopskiej, Stambolińskiego, i za jego inicjatywą zawiązana została t. zw. „zielona międzynarodówka”, która objęła nie tylko kraje rolnicze Bałkanu, ale ponadto inne kraje rolnicze Europy. Doszło nawet do kilku kongresów tej organizacji, ale koniec końców organizacja ta — na skutek sprzecznych interesów agrarnych niektórych państw — de facto przestała istnieć. Tym bardziej podkreślić należy, że podczas obecnej wojny ustanowiono w Londynie t. zw. *Peasants Charter*, która w dwunastu punktach ustala zasady nowej międzynarodowej organizacji rolniczej, względnie nawiązuje do myśli przewodnich wspomnianej „zielonej międzynarodówki”, założonej przez Stambolińskiego. Umowę londyńską podpisali delegaci Polski (Stanisław Mikołajczyk i Witold Kulerski), ponadto przedstawiciele Czechosłowacji, Grecji, Jugosławii, Węgier i Rumunii.

Problematyka i ilość problemów polityczno-gospodarczych regionu bałkańsko-naddunajskiego jest tak wielka, że wydaje się niepodobnym sprawę tę móc nasświetlić, choćby fragmentarycznie, w krótkiej notatce dziennikarskiej. To samo powiedzieć można o prognozach, dotyczących przyszłego ułożenia się stosunków wewnętrznych i zagranicznych.

Być może, że w kraju „Orłów” królestwo Ahmeda Zogu („Zog” po polsku oznacza „orzeł”) zostanie ponownie wskrzeszone, ewentualnie pod panowaniem jakiegoś „orłątka”...

Nie jest wykluczone, że po ostatecznym zlikwidowaniu reżimu „Zielonej Gwardii” Antonescu i Ska, Karol z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen po raz wtóry w dziejach Rumunii odziedziczy tron z rąk swego syna, a król Michał ponownie znajdzie się na stanowisku następcy tronu (Wielki Wojewoda Królestwa).

Bułgaria, — rusofilska, — być może — ostatecznie pozbędzie się dynastii Koburgów. Co do Turcji, to wydaje się pewne, że pelagu, prawdopodobnie nie w całości wrócić do macierzy.

Co do Turcji, to wydaje się pewnym, że niektóre kapitalne zagadnienia z ery przedkemałowskiej, znajdują się ponownie na wokandy koncertu „możnych”.

Wszystkie te kwestie krystalizują się obecnie na różnych płaszczyznach politycznych, w ukryciu prawdziwych celów „strategiczych”, — w większości wypadków nawet z dala od odnośnych środków działania. Zastępują one na bacznej obserwację, gdyż — parafrazując znane określenie Litwinowa, że „wojna jest niepodzielna” — możnaby z tą samą logiką powiedzieć, że i „pokój jest niepodzielny”.

ALEKSANDER BREGMAN

INSTRUMENT POKOJU CZY — USPOKAJANIA?

Przed paru miesiącami amerykańskie pismo *Fortune* zorganizowało ankietę, stawiając następujące pytanie: „Czy spodziewa się pan, że Stany Zjednoczone będą prowadzić nową wojnę w ciągu następnych 50 lat?” 59 procent odpowiedziało: „Tak”.

Od czasu tej ankiety projekty zabezpieczenia pokoju uległy spreycyzowaniu. Związczą po ogłoszeniu propozycji z Dumbarton Oaks można się mniej więcej zorientować w tym, jakie formy przybierze nowa organizacja, która zajmie miejsce Ligi Narodów. Prasa brytyjska i amerykańska, porównując starą i przyszłą Ligę, dochodzi na ogół do wniosku, że organizacja Zjednoczonych Narodów powinna być bardziej sprawna w zapewnieniu pokoju i zwalczaniu agresji. A jednak gdyby to samo pytanie zadane zostało publiczności dzisiaj, — zarówno w Ameryce, jak w Wielkiej Brytanii i w innych krajach, — to najprawdopodobniej wynik byłby taki sam, a może jeszcze więcej ludzi dałoby wyraz niewierze w trwałość pokoju, niż przed pół rokiem. Zda się nie ulegać wątpliwości, że projekty, uzgodnione przez cztery wielkie mocarstwa, nie wzbudziły wielkich nadziei na pokój i bezpieczeństwo powszechne.

Niektórzy uważają ten sceptyczny nastrój opinii za zjawisko raczej pomyślne. Sądzą oni, że po poprzedniej wojnie zbyt wielki był idealizm i wiara, że wojna 1914—1918 była rzeczywiście, — jak wówczas głoszone, — „wojną dla położenia kresu wojnom” i że jeżeli narody nie będą pokładały zbyt wielkich nadziei w papierowych konstrukcjach, to zaoszczędzą sobie wielu złudzeń i rozczarowań, co więcej zaś, zrozumieją, że czynnikami decydującym jest polityka mocarstw, a nie aparat międzynarodowy. A w takim razie praca nad utrwaleniem pokoju będzie bardziej możelna i ciężka, jednak bardziej skuteczna na dalszą metę.

Nie jest jednak pewne, że rozumowanie takie jest trafne. Jeżeli narody dziś tak sceptycznie oceniają przyszłość współpracy międzynarodowej, to nie dlatego, że niepowodzenie Ligi zraziło je do wielkich koncepcji organizacji międzynarodowej, lecz dlatego, że z poza wszystkich planów tej organizacji przeświecają bardzo niebezpieczne tendencje, które, jak ogół instynktownie czuje, nie wróżą nic dobrego.

Niebezpieczne teorie

Oczywiście, wieczny pokój jest złudzeniem i może nie należy zbytino żałować, że ludzkość temu złudzeniu przestała ulegać. Ale jeżeli złudzenie to byłoby niebezpieczne, to o ileż bardziej niebezpieczne byłoby dojsie narodów świata do wniosku, że wojna jest rzeczą nieuniknioną. Taki cyniczny czy zrezygnowany pogląd prowadziłby do katastroficznych następstw, jako że narody machnęłyby ręką na próby zorganizowania pokoju i pogodziwszy się z rzeczą nieuniknioną, przygotowywałyby się już tylko do nowej wojny.

Niestety zaś, wszystkie lansowane na ogół w ostatnich czasach teorie sprzyjają ugruntowaniu się przekonania, że wojna jest nieunikniona.

Przed wszystkim bez końca powtarzana jest teza, że pokój świata zależy niemal że wyłącznie od tego, czy dzisiejsza współpraca trzech wielkich mocarstw utrzyma się na stałe, przybierając formę trwałego porozumienia lub sojuszu. Otóż wszyscy pragną, aby ta współpraca okazała się jak najściślejsza i najtrwalsza (co zresztą jest możliwe tylko pod warunkiem przyjęcia przez nie tych samych zasad moralnych), ale jeżeli będzie się wychodziło z tego założenia, to ewentualne rozluźnienie się tej współpracy musiałyby oznaczać, że wojna jest nieuchronna. Tymczasem zaś doświadczenia historyczne każą liczyć się z możliwością, że ta współpraca może nie przetrwać poważnie wojny, z której się zrodziła.

Niedawno jeden z wybitnych polityków brytyjskich, lord Winster, stwierdził w Izbie Lordów: „...W stosunkach międzynarodowych partnerzy ciagle się zmieniają. Sojusznicy dzisiejsi są jutrzejszymi wrogami. Co więcej, wszelkie ugrupowanie mocarstw w sposób nieunikniony powoduje przedziej czy później przeciwugrupowanie, a wówczas znowu wybucha wojna. Sądę więc, że byłoby błędem polegać przy układaniu planów na daleką metę zbytino na tym, że ugrupowanie mocarstw, powstałe dla celów wojny, z pewnością będzie trwało”.

Jest to głęboka prawda. Żadna koalicja wojenna nie okazała się jeszcze trwałą w czasach pokoju. I dlatego twierdzenie, że w razie rozluźnienia się obecnej koalicji trzech mocarstw wszystko będzie stracone i niczego nie da się już zrobić dla zapewnienia pokoju, jest tak niebezpieczne. Czego światu trzeba, to takiego systemu, w którym nawet i przy nietrwałości obecnego wojennego sojuszu możnaby było starać się o utrzymanie pokoju.

Druga teza, sprzyjająca wytworzeniu się fatalistycznego przekonania, że wojna jest nieunikniona, również jest ostatnio bardzo mocno rozpowszechniana. Głosi ona, że jeżeli jedno wielkie mocarstwo zdecydowane jest prowadzić politykę agresywną, a pozostałe wielkie mocarstwa przeciwstawiają się jej, to musi to prowadzić do wojny. Powołuje się ona na dawny Koncert Europy z XIX wieku i wskazuje, że wówczas pokój był zapewniony przez to, że zagadnienia wojny i pokoju by-

ły zastrzeżone wielkim mocarstwom. Były one arbitrami konfliktów pomiędzy mniejszymi państwami, tak iż małe państwa wojny wywołać nie mogły. Z drugiej strony konieczność zachowania równowagi sił wpływała hamująco na postępowanie samych mocarstw. W ten sposób zapewniony był stosunkowo trwały pokój. Jeśli jednak dochodziło do konfliktu między poszczególnymi wielkimi mocarstwami, to rezultatem musiały być wojna. I żadna organizacja międzynarodowa na to nie nie poradzi. Jak to określił *Times*: „Założeniem organizacji międzynarodowej jest współpraca wielkich mocarstw, gdyż bez niej nie może ona istnieć”.

Ale jeśli przyjmie się tę tezę, to można od razu pożegnać się z nadziejami na pokój. Prędzej czy później między mocarstwami musi nastąpić konflikt. Co więcej, historią uczy, że zwłaszcza w czasach dzisiejszych tylko wielkie mocarstwa mogą być napastnikami. Organizacja międzynarodowa, któraby nie brała tej możliwości pod uwagę, nie byłaby nie warta. W tym wypadku istotnie lepiej byłoby wyrzec się wszelkich złudzeń i żadnej w ogóle organizacji nie tworzyć.

Nawet najpotężniejsze państwa...

Nie jest jednak bynajmniej faktem doowiedzianym, że nie można niczego zdziałać przeciw wielkiemu mocarstwu, prowadzącemu politykę agresji i imperializmu. W dzisiejszych warunkach nie ma mocarstwa, któreby mogło stawić czoła reszcie świata i któreby odważyło się na agresję, jeśli musiałyby się liczyć z możliwością czy zgola pewnością akcji zbiorowej ogółu państw świata.

Jest dziś rzeczą niemal powszechnie uznaną, że gdyby w r. 1914 Niemcy nie mogły liczyć na neutralność Wielkiej Brytanii, to do wojny nie doszłoby. Tak samo w r. 1939 Niemcy namyśliliby się poważnie nad zaatakowaniem Polski, gdyby pakt Ribbentrop-Mołotow nie dawał im pewności, że Rosja pozostanie neutralna.

Rozwój techniki wojennej sprawia, że nawet najpotężniejsze mocarstwo nie może samo jedno prowadzić wojny przeciw koalicji, obejmującej ogół państw świata. Wojna obecna wykazała, że już nie tylko rzeki, ale nawet morza nie chronią przed agresją. Weźmy przykładowo dwa największe i najpotężniejsze państwa świata. Stany Zjednoczone dotychczas jeszcze nie były bezpośrednio zagrożone, ale gdyby Wielka Brytania nie zdołała obronić siebie i świata w r. 1940, to niebezpieczeństwo inwazji Ameryki byłoby całkiem realne. Prezydent Roosevelt niedawno stwierdził, że w przyszłej wojnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych tak samo stać będzie otworem dla agresji, jak w obecnej Filipiny i Pearl Harbour.

Rosja również wydawała się do tej pory nie do pokonania. A jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że gdyby Niemcom udało się pozyskać Polskę do wspólnego ataku na Rosję w r. 1939, kiedy ta nie była jeszcze przygotowana, albo jeżeliby Wielka Brytania załamała się w r. 1940, to losy Rosji byłyby również przypieczetowane.

Nie, nie ma dziś mocarstwa, któreby mogło samo jedno przeciwstawić się światu! Nie ma mocarstwa, któreby mogło sobie powiedzieć, że wygra wojnę choćby przeciw całemu światu.

Jeśli się będzie zawsze pamiętało o tym fakcie, a zarazem o tym, że to nie małe państwa, atakując wielkie mocarstwa, wywoływały wojny, że nie Abisynia napadła na Włochy, nie Chiny zaatakowały Japonię, nie Polska — Niemcy i nie Finlandia — Rosję, to droga do zapewnienia pokoju zarysuje się nam wyraźnie. Prowadzi ona przez stworzenie takiego systemu, takiej organizacji międzynarodowej, któraby groziła napastnikowi, — nawet jeśli jest nim najpotężniejsze państwo, — zbiorową akcją innych narodów, wielkich i małych.

Jest to jedyna droga do celu. Innej drogi nie ma.

Genewa i Dumbarton Oaks

Dawna Liga Narodów niewątpliwie stanowiła znacznie bardziej zdecydowaną próbę wdrożenia na tę drogę, aniżeli obecne projekty. Nie była ona próbą uwiecznienia sojuszu, który w latach 1914—1918 łączył różne państwa we wspólny wałce z Niemcami. Należenie do wielkich mocarstw zwycięskich nie zabezpieczało przed akcją zbiorową Ligi winnego agresji: agresja japońska w r. 1931 była przedmiotem rozpraw w Genewie, a przeciw Włochom, winnym agresji wobec Abisynii, uchwalono nawet sankcje.

Oczywiście sankcje, jakie przewidywał Pakt Ligi, dalekie były od doskonałości. Nie istniała bynajmniej pewność, że zostaną zastosowane, jako że akcja zbiorowa wymagała jednomyślności Rady (oczywiście, bez udziału stron), a członkowie nie mieli obowiązku wzięcia udziału w akcji przeciw napastnikowi. Gdyby system ten został ulepszony, jak to usiłowal np. zrobić Protokół Genewski, który przez ściśle określenie agresji i automatyzm akcji przeciw napastnikowi pozwalał omijać rafa reguły jednomyślności oraz zmuszał do udziału w sankcjach, to cel byłby osiągnięty. Droga do niego była wyraźnie zaznaczona.

Zaletą systemu Ligi było zdecydowane określenie jej zadań jako nie tylko zabezpie-

czenia pokoju, ale także utrzymania niepodległości politycznej i integralności terytorialnej członków. Nie oznaczało to jednak, że istniejący stan rzeczy miał być na zawsze utrzymany: art. 19 przewidywał możliwość rewizji traktatów.

Przy całej swej niedoskonałości Liga — w teorii przynajmniej — dążyła do zapewnienia wszystkim swym członkom niepodległości i bezpieczeństwa, traktując jednakowo wielkie i małe narody. Główną jej wadą było, że niedostatecznie ograniczała suwerenność państw, że nie realizowała zasady, według której narody, tak jak jednostki w zorganizowanej społeczności, muszą uznać z góry prawo i podporządkować się mu.

Czy nowa organizacja, jaką projektują wielkie mocarstwa, stanowi postęp w stosunku do Ligi Narodów? Zdania są, jak wiadomo, podzielone co do tego, w jakim stopniu organizacja Zjednoczonych Narodów przypomina Ligę. Niektórzy mówią, że różnice są duże, inni, że — minimalne. Jedni widzą różnice na korzyść, inni znów na niekorzyść. Moim zdaniem istnieją poważne podobieństwa w niektórych punktach, z tym że dotyczą one głównie wad Ligi, a jednocześnie duże różnice, które znacznie częściej są krokiem wstecz, niż krokiem naprzód.

Na dowód, że propozycje z Dumbarton Oaks stanowią poważny postęp w stosunku do Paktu Ligi, przytaczany jest fakt, że akcja przeciw napastnikowi będzie znacznie szybsza i skuteczniejsza. Mówi się, że organizacja otrzymała solidny garnitur zębów. Jest to bodaj słuszne, ale, niestety, cały plan jest tego rodzaju, że wydaje się bardzo problematyczne, by można było tymi zębami gryźć.

„Zęby, które nie będą miały co gryźć”

Radzie Ligi zarzucano, że jej akcję może udaremnić reguła jednomyślności i — w teorii przynajmniej — było to słuszne. Ale w nowej organizacji też wymagana jest jednomyślność stałych członków Rady Bezpieczeństwa. Co więcej, jeżeliby stanowisko Rosji w sprawie głosowania zwyciężyło, to wielkie mocarstwo, oskarżone o agresję, zachowałoby prawo weta, tak iż akcja przeciw niemu mogłaby nastąpić tylko za jego zgodą.

Fakt, że tego rodzaju koncepcja nie napotyka na najbardziej zdecydowany sprzeciw, lecz znajduje nawet tu i ówdzie poparcie, świadczy może najdobitniej o tym, że w stosunku do Ligi zrobiono stanowczo krok wstecz. Liga realizowała podstawową zasadę, bez której nie ma w ogóle prawa, a mianowicie, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Przez przyjęcie zasady, że wielkie mocarstwo samo decyduje o tym, czy ma być ukarane, system stałby się wręcz karykaturą. Trudno przecież wyobrazić sobie, że przedstawiciel wielkiego mocarstwa, oskarżonego o agresję, stanie przed areopagiem międzynarodowym i dokona aktu samokajania się, przynajmniej się do win i prosząc o przykładowe ukaranie!

Postanowienie to wyklucza wszelką akcję przeciw wielkiemu mocarstwu, które dokonało agresji. A że, — jak już wskazaliśmy, — poważnie, jeśli nie wyłącznie, agresorami są wielkie mocarstwa, więc w nagrodniejszych wypadkach w ogóle nie byłoby akcji zbiorowej.

Może najlepiej oceni się niebezpieczeństwo tej doktryny, jeśli wyobrazi się, jak wyglądałoby jej zastosowanie w przeszłości. Jak wiadomo, początkiem polityki uspokajania, czyli ostawionej *appeasement*, była odmowa podjęcia stanowczej akcji przeciw Japonii, gdy przed 13 laty zagarnęła ona Mandżurię. Potępiano za to Ligę, choć winę ponoszą wielkie mocarstwa, które akcji nie chciały. Dalszym etapem na śliskiej drodze *appeasement* była nieoddecydowana akcja przeciw Włochom, gdy zaatakowały Abisynię.

Ale w obu tych wypadkach Liga przynajmniej próbowała coś zrobić. Jednomysłna uchwała doprowadziła do wyjścia Japonii z Ligi, a w sprawie abisynskiej uchwalono nawet sankcje. Gdyby jednak obowiązywał system z Dumbarton Oaks i zasada, wysuwana przez Rosję, to w ogóle żadna uchwała przeciw agresorowi nie byłaby możliwa. Zarówno Japonia, jak i Włochy, należąc do zwycięskich wielkich mocarstw poprzedniej wojny i mając stałe miejsce w Radzie Ligi, mogłyby zgłosić veto!

Jeśli w ten sposób najważniejsze wypadki agresji w ogóle nie mogłyby spowodować akcji przeciw napastnikowi, to również i w innych wypadkach użycie „zębów” byłoby nader problematyczne.

Słusznie stwierdza londyński *Times*, że „samo istnienie sporu czy pretensji jakiegos małego państwa wobec potężnego sąsiada będzie interesowało Radę jedynie w małym prawdopodobnym wypadku, gdy pokój będzie się wydawał zagrożony”. Istotnie, małe państwo nie może grozić wojną potężnemu mocarstwu, czyli że w myśl zasad nowej organizacji nie będzie powodu do interwencji.

Ale w takim razie co pozostaje? W teorii Rada będzie mogła interweniować w razie konfliktu między dwoma mniejszymi państwami. W praktyce jednak nawet i to nie jest bardzo prawdopodobne, gdyż cały proponowany system wraz z przewidzianymi układami regionalnymi wyraźnie zmierza do sfer wpływów poszczególnych mocarstw, w rezultacie czego małe państwo, nawet będąc winne agresji w stosunku do innego małego państwa, będzie mogło liczyć na to, że veto jego „pro-

tektora” udaremni akcję przeciw niemu. Reguła jednomyślności wielkich mocarstw, nawet gdyby nie dotyczyła konfliktów, w których jedno z tych mocarstw jest stroną, otwiera pole do wielkich nadużyć.

Jednym słowem, w praktyce niemal że trudno sobie wyobrazić wypadek, w którym mogłaby nastąpić akcja zbiorowa przeciw napastnikowi.

Być może, powie ktoś, że przynajmniej istnieje pewność skutecznej akcji przeciw nowej agresji ze strony Niemiec. Ale nawet i to jest mało prawdopodobne. Ostatecznie, trzeba się spodziewać, że Sojusznicy zdobędą się na takie rozwiązanie problemu niemieckiego, iż Niemcy same nie będą w stanie rozpętać trzeciej wojny światowej. Jedyną ich szansą po temu będzie możliwość wygrywania mocarstw przeciw sobie, czemu, oczywiście, bardzo sprzyjałoby podzielenie świata, a zwłaszcza Europy, na strefy wpływów. W tym wypadku Niemcy miałyby poparcie jednego przynajmniej wielkiego mocarstwa, czyli że znowu akcja zbiorowa byłaby niemożliwa.

Monachium zamiast pokoju

Wszystko to nie musi bynajmniej oznaczać, że Rada Bezpieczeństwa pozostanie bezczynna. Przeciwnie, można sobie doskonale wyobrazić, że w wykonaniu powierzonych jej zadań wykaże ona wielką ruchliwość. Powstało tylko pytanie, czy działalność ta będzie pozyteczna.

Jak wiadomo, jedynym jej zadaniem jest strzec pokoju i tylko pokoju. „Organizacja istnieć będzie raczej dla bezpieczeństwa jako takiego niż dla sprawiedliwości jako takiej i wydaje się, że na ten temat mniej będzie niejasności niż w Genewie” — zauważa trafnie *Times*. Tak samo nie ma mowy o działaniu w obronie niepodległości państw, czy ich integralności, ani też o akcji na rzecz zmiany niesprawiedliwych traktatów. Rada ma działać tylko wówczas, gdy grozi niebezpieczeństwo dla pokoju. Ponieważ zaś niebezpieczeństwo to może grozić tylko na skutek postępowania któregoś z wielkich mocarstw i skoro akcja przeciw temu mocarstwu nie jest możliwa, cały wysiłek zmierzać będzie do skłonięcia tego mocarstwa do wyrzeczenia się planów agresji. Jeśli jeszcze uwzględnić, że organizacji przyswiecać będzie doktryna, według której utrzymywanie współpracy wielkich mocarstw warte jest wszelkich niemal poświęceń, to nie trudno dojść do wniosku, że państwu, prowadzącemu politykę agresywną, czynione będą wszelkie ustępstwa. Nie będzie miało znaczenia, że małe państwo, pozostające w sporze z wielkim mocarstwem, będzie miało rację po swoje stronie. Zadaniem Rady Bezpieczeństwa nie jest czuwanie nad sprawiedliwością, lecz dbanie o to, by nie doszło do wojny. Cóż prostszego jak zmierzać do tego celu przez *appeasement*?

Trzeba także podkreślić, że w swych decyzjach Rada nie będzie związana żadnymi przepisami, precyzującymi w szczególności pojęcie agresji. Będzie ona jak trybunał, któryby sam miał decydować, co jest zbrodnią, nie licząc się z żadnym kodeksem. Paragraf 2 sekcji VIII (B) projektu z Dumbarton Oaks wręcz głosi: „In general the Security Council should determine the existence of... act of aggression”.

Co więcej, przewidziane na ten wypadek kroki nie muszą być wcale skierowane przeciw napastnikowi. Pakt Ligi Narodów mówi o pomocy dla ofiary napadci i o akcji zbiorowej dla wymuszenia poszanowania zobowiązań Ligi. Projekt z Dumbarton Oaks mówi natomiast zawsze o akcji „to maintain or restore international peace or security”. I można sobie doskonale wyobrazić, że Rada, która przecież nie będzie mogła podjąć akcji przeciw napastnikowi, jeśli będzie nim wielkie mocarstwo, dążyć będzie do uratowania pokoju, wywierając nacisk czy groząc sankcjami mniejszemu państwu.

Wszystko to jest nieuchronną konsekwencją budowania li tylko na współpracy wielkich mocarstw, zamiast oparcia się o ogół państw wielkich i małych. Gdy nawiązuje się do Paktu Czterech, ongiś proponowanego przez Mussoliniego, to nie da się uniknąć tego, że konflikty między wielkimi mocarstwami a mniejszymi państwami będą załatwione według monachijskich wzorów. I zamiast pokoju mamy... Monachium.

Oczywiście i przez „politykę uspokajania” można — przez pewien czas przynajmniej — uzyskać pokój. Ale chyba nikt się nie łudzi, że byłoby to pokój sprawiedliwy i trwały. To też niepodobniństwem jest, by narody sojusznice zadowolili się stworzeniem narzędzia „uspokajania” — zamiast narzędzia pokoju. I walka o stworzenie prawdziwego systemu bezpieczeństwa międzynarodowego, któryby usuwał niedomagania dawnej Ligi, zamiast je jeszcze pogłębiać, musi trwać dalej.

Trzeba się spodziewać, że opinia brytyjska i amerykańska, które bez entuzjazmu przyjęły plany z Dumbarton Oaks i widzą ich liczne ciemne strony, potrafią przy pomocy mniejszych państw, dla których projekt ten nie przedstawia najmniejszej atrakcyjności i które zapewne poważnie namyśliłyby się, czy warto w ogóle należeć do organizacji tego rodzaju, doprowadzić do zmian, pozwalających mieć nadzieję, że stworzone będzie narzędzie pokoju, a nie że zostanie uświęcona polityka à la Monachium.

IGNACY KLESZCZYŃSKI

BITWA O POLSKĘ W APENINACH

Z odcinka Kresowej we Włoszech, w listopadzie.

Słońce listopadowe kładło pierwszy raz, od dawna niewidziane, swoje promienie na wzgórza i na dolinę, którym oddziały lwowskiej przybyły w szarżyście świtu. Złota purpura liści, zieleni ociekająca wilgocią, i miazga błota, rozrobiona żołnierskimi butami, — nabierały życia i barw gorących, jak pas krwi, która uciekała pierwszym rannym, niechętnie ssana przez nabrzmiałą długotrwałymi deszczami ziemię apenińskich gór. Żołnierze, leżąc, ciężko dysali. Dołki, które mozolnie wykopali, — nabrały wody, która błyszczała teraz mrugającymi oczodolami brudnych refleksów. Mundury — tyle dni nie przebiegane — chciały ulegać ciepłemu językom słońca. Suszyły się na cieple, mocno parując.

Zmęczenie tych kilkunastu dni szarej, pełnej błota i deszczu walki w górach, drapanie się po wąskich grzbietach, mozolne wspinanie się na ostre szczyty, — było większym obciążeniem niż najcięższy plecak żołnierski. Przy każdym dalszym wysiłku sapali też głęboko. Każde podejście pod tę nową górę wydawało się niebosiężne, aczkolwiek niewysoko leżał ten ostatni szczyt. Chociaż z czubą Mirabello czy z Colombo rozpościerał się daleki i rozległy widok, — Polacy wciąż zagłębiać się musieli w górach. Wprost, poprzez szczyty, które teraz były celem natarcia, widoczna była żyzna dolina lombardzka, a miasto Forlì kokoszyło się szeroko w zawieszistej mgłę od Adriatyku, ciągnącej i opalizującej w tym słońcu. Ale łańcuch górski wciąż urastał, zagradzał, stawiał nowe zapory. Bo wypróbowane oddziały II Korpusu miały uderzać teraz niziną na Forlì — znowu musiały zmienić front i miały przełamać ciężki odcinek górski.

Ale tak wspaniałe nęcące Forlì nie było widoczne kompaniom, których horyzont zamykała szkarpa, a oskrzydlał głęboki jar i górująca nad tym krzaczasta brodawka. Właśnie z jej gęstych i ciemnych zarośli bił niemiecki ogień, bił gęsto i cennie. Ogień trzymał mocną zaporą i nie pozwalał przeskoczyć tej szkarpy i wdrzeć się na drogę. Plutony podrywały się, ślizgając na rozmokłej, błotnistej ziemi, i przypadały, by leżeć nieruchomo, by rannych przerzucać na tyły. Krzaczasty wzgórek wydawał się nie do przebycia. Stanowił szpetną narośl dla całości działań, choć kompanie nad ranem rozpoczęły je tak pięknym sukcesem, biorąc od jednego zamachu całą placówkę niemiecką do niewoli. Teraz powstał zator w akcji, który mimo strat daremnie usiłowano zniweczyć. Niemiecka obrona nie słabła, choć raz po raz szedł na nią ogień artyleryjski.

Żołnierze przywarli do zbocza Montemaggiore i czekali.

Ale daremnie biła artyleria, daremnie szedł szumem, stokrotnie echem powtarzany, wesoły rechot ciężkich karabinów maszynowych, daremnie rwały te piekielnie krzaki moździerz. Najcięższy ogień nie mógł splukać tych niewielkich zarośli z niemieckich obronców. Za każdym nowym podmuchem polskim plutony rwały szkarpa i padały, brocząc krwią nowych rannych. Do ziemi przykuwała niemiecka obrona zacięta, twarda, nieustępliwa, desperacka. Górowała nad nacierającymi terenowo, górowała nad tymi, którzy na nagim zboczu leżeli, daremnie szarpiąc się do przodu.

Tymczasem na prawym skrzydle tej wielkiej bitwy wileńskie Rysie uderzały z większym szczęściem. Pod pokrywą nocy przebyły najtrudniejszy odcinek, — odsłoniętą od strony nieprzyjaciela drogę na Cadignano, — i teraz czekały na wsparcie. W świetle dnia ciemniasty zakręt od drogi, wspinający się na kompleks wzgórz, niedawno zdobytych w niezwykłe ciężkich walkach przez Kresową, a to Monte Belvedere, Monte Mirabello i Monte Colombo — stanowił ostatnią osłonę przed oczyma nieprzyjaciela. Zsosa od zakrętu prowadziła równoległe do zbocza Montemaggiore ku Marsignano, wziętemu przez Rysów o świcie. Teraz jedna z kompanii wgrzała się w zabudowania Marsignano, gdzie murek małego, wiejskiego cmentarza stanowił granicę, dzielącą obronców od polskiego natarcia. W kościółku, naprzeciw cmentarza, w starym, smutnym teraz kościółku kryli się Niemcy, tak, jak kryli się w rozrzuconych domach, broniąc się do upadłego. Naszym zabrakło amunicji, więc dwa kariery ruszyły w skok od cieniściego zakrętu i szły w ogień niemieckim, bijącym z całego zbocza, jak w szarży Somierri. Dzwoniły o pancernie kule „spandauów”, gwizdały „szmajserów”, ale kariery rwały i doszły, wioząc upragnioną amunicję. A teraz miały pójść tą drogą, oskrzydlającą obronę, czołgi. Pójdą, mimo że droga jest trudna, rozmokła, wąska i śliska, pójdą, by wesprzeć walkę, by utworzyć przejście. Dobrą do tych domków, z których powstały szanice kamienne, i będą je oczyszczać z zwoich stalowych pancerni.

Młody dowódca czołgów stoi z mapą w ręku i odbiera ostatnie wskazówki od dowódcy Rysów. Skręt, ta droga, niemieckie oddziały na przeciwnym zboczu, ogień, przewidywany w tym miejscu, od tu, zważyć proszę te cele, — mówi spokojnie major. — Czy Niemcy mają broń przeciwpancerną? — Tak, zapalili jeden łaźnik, ale kariery przeszedły... — To jedziemy, panie majorze! — mło-

dy podporucznik pancerniak bierze mapę i rusza.

Na niebie wysoko krążą, jak jastrzębie, szukające zdobyczy, samoloty Raf'u. Słońce świeci, świat wydaje się tutaj, w Predappio Alto, leżącym ponad miejscem urodzenia Mussoliniego, naprawdę piękny. Jeżdżą tylko szybkiej łażki, śmigają motocykle, a teraz ruszają trzy czołgi, ciężko pracując motorami i wspinając się ku ocienionemu zakrętowi, wiodącemu do Marsignano. Czołgi huczą ciężko, samoloty warczą, — ponad wiszącą bielizną teraz już spokojnych mieszkańców, ale za tą górą jest pierwsza linia i panuje inny porządek bojowy. Teraz bezruch i cisza, bo artyleria całą noc „zmiekczała” pozycje niemieckie, — więc czeka na nowe rozkazy ogniowe, przedstawia się na nowe odległości w miarę postępów piechoty.

Ruszyły na prawe skrzydło czołgi, ruszyły i na lewe, gdzieś na przełęczy pod Monte Colombo szukając przejścia, by i tam wesprzeć uderzające oddziały lwowskie, idące na San Martino in Avello. Tylko centrum dalej leży nieruchomo. Czołg nic tu nie zdziała, bo dolinka głęboka przegradza przepaścią szosę, wijącą się po stromych zboczach od zabudo-

zastępca dowódcy Kresowej, pilnie obserwując przebieg działań. Jeszcze raz położyć ogień i bić do skutku!...

— Tytus woła Halię, ogień...

— Wysłać patrol z Paderewskiego, niech pójdzie górą!

— Położyć ogień moździerz!

Idą rozkazy, by przetrwać przejście, a w ślad za nimi rozpoczyna się piekielna sarabanda. Artyleria wali nawałę na całym odcinku natarcia, a iść tam baterii bije w brodawkę. Moździerz dokłada. Nad przełęczą lecą nisko pociski, skowyczą, charczą. Idą rozkazywać zaporę niemiecką.

— Wyżej, bo w nas — ktoś się śmieje z nad lornety. Idą salwy, — padają poprawki w słuchawki telefonów, — wysoko biją słupy ciemnej kurzawy z nad krzaków i z nad stanowisk niemieckich. Odzywa się dalekim echem ogień niemiecki. Biję artyleria, biję ciężkie moździerze. Nasze nie pozostają dłużne. Huczą gdzieś samoloty. Daleko i głucho przewalają się grzmotem nad Forlì tonny zrzuconych bomb, przeświecających niemieckie linie.

W jednej chwili błękit włoskiego listopadowego nieba i grzejące słońce, i owce, pa-

i strzelec wyborowy z lunetką, był i „szmajser”, i był desperacki, beznadziejny opór.

— Dać im siedemnastką!

Sam dowódca dywizjonu przeciwpancernego pójdzie przeorać pociskami tego doskonałego działu te przekłete krzaki. A pociski kruszące najlepsze ściany zwalają, jak domki z kart.

Godzina jedenasta. Słońce coraz mocniej sze. Pot zalewa oczy, które wypatrują daremnie niewidzialnego nieprzyjaciela.

— Tytus, bijemy kruszącym...

Huk i łoskot jest nierozdzielny z tymi lecącymi krzakami. Fontanna ziemi bryzga darnią i brunatną kurzawicą wytryska nad ciemnozieloną plamą krzaków. Doskonale! — a teraz pięć metrów wyżej. Pocisk targa zbożem, rwie gałęzie i krzewy, niesie posiew śmierci. Wznosi się szeroko pierzasty wachlarz ciemnej miazgi. Dym wolno się wlece ponad jarem. I jeszcze jeden pocisk zmiekcza opór.

Cisza.

Ale szary piechur prowadzi nieustannie swą robotę.

Już głębokim obejściem od lewej strony wpelzał się patrol czterech ponad szkarpa, przesłiznął się rowem jakimś, przemknął ścieżką, kiedy Niemcy wetknęli głowy w ziemię, rozrywając przeciwpancernymi. Patrol już jest w domku ponad jarem i tą piekielną brodawką. Widać, jak, potykając się, wdzierają się do obejścia. Radośnie zarechotały „tomigany” i niezdeterminowane odpowiedziały „szmajser”. Rozryw granatów. I rakietą wykłuta na jasnym niebie, przyćmiona w słońcu.

— To niemiecka chyba, dają znać swoim, że opuszczają tę pozycję...

Po chwili już niemieckie pociski nadjeżdżają w dudnieniu. Ryją ogródek wokół domu, walą pleciony parkan. Patrol bije rakietą, przycupnięty za murem. Jedna, druga, trzecia... To nasza, pewnie, nie wiedzą, że doszliśmy... — klną w myśli i mówią między sobą ponad hukiem rozrywów. Ale to nie nasza, to niemiecka. To już, bracie, twojego znaku przedłużenia ognia Niemcy nie usłuchają, nie! Ale wytrwacie w tym domku, tak jak wytrwaliście pod tym piekielnym krzaczastym wzgórzem. Wytrwacie, bo już nasza artyleria przydusi niemiecką aż dadzą wam spokój i lepszych sobie celów poszukają.

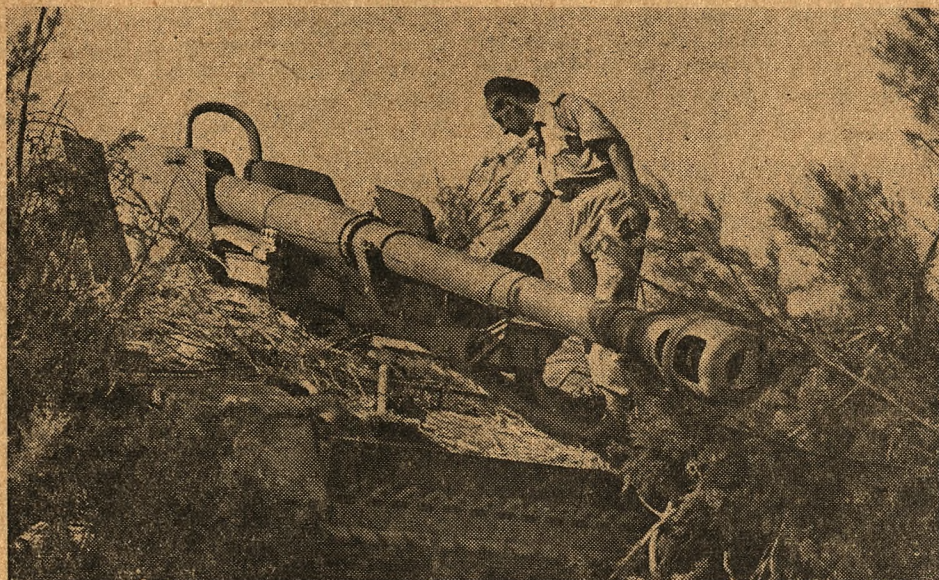
Wytrzymali i zrobili przejście kompanii. Wytrwali i wzięli do niewoli obrońców brodawki, którzy siedzieli w głębokich, pojedynczych, wikliną oplecionych dołach i bili się do ostatka. Kiedy oddali broń, — wyglądali na zachłani człowieka. Ale w tych dołkach nikt ich sięgnąć nie mógł, — sami niewidoczni, wszystkich widzieli i bili spokojnie, do ostatka, zawzięcie, po prusku.

Teraz idą kompanie wściekle, rwą, potykając się, po rowach i zapadlinach, wyzwolone z duszącego ryglu i szukające zemsty. Szły, biorąc dom za domem, granatami i tomiganem torując sobie drogę, częściej granatami, wrzucając je przez sięjące śmierć okno, przez rozwalony dach, który krył niemiecką obronę. Kompanie brały jeńców i brały Montemaggiore i wszystkie załuki i schowki jej wielkiego masywu. Batalion wykańczał swoje zadanie i oczyszczał swój cel natarcia.

A na prawym skrzydle czołgi już prują od cieniściego zakrętu i defilują przed niemieckimi ogniami, — nietknięte bijącymi beznadziejnie po pancerniach pociskami broni małokalibrowej. Dowódca przez szparę lekko rozchyłonych kłap „Shermana” spogląda bacznie wokół, czy nie czai się niemiecka broń przeciwpancerna i jeszcze baczniej bada z wysokości wieży szosę, której zakręty kryją nie tylko niebezpieczeństwo min pancernych, ale i głębokiego błota, z którego trudno wymanewrować trzydziestokilkutonne cielsko stalowej maszyny. Idą więc ostrożnie, a mięśnie kierowcy pracują nieustannie w huku motoru. Już na celowniku działka wystrzelili mur skrajnego domu, w którym broni się niemiecka placówka. Czołg przystaje, celuje spokojnie i dokładnie. Łoskot spadających cegieł i łoskot jeszcze większy odpalenia w szumiącym i dusznym czołgu. Strzępią się mury niemieckiego szanca raz i drugi, a po chwili grają nasze maszyny sponad cmentarza Marsignano. To niemiecka załoga ucieka przez okno domu, pcha się na kościółek, wchodzi w obstrzał leżącej w niewielkiej odległości naszej piechoty. Przypadła gdzieś dalej, dorwała się do nowego stanowiska.

A czołg znowu rusza, pracuje na ciężkim gazie, bo zsosa wyczynia skomplikowane pętle, kręci się i stromym spadkiem podchodzi pod dalsze zabudowania małego osiedla. Stalowa forteca sapie i pnie się dalej. Przystanęła przy szkarpie, mając osłonięty bok, wpatrzona teraz wprost osiedla, wprost tych domków, w których czai się jeszcze obrona. Szuka, który wziąć na cel, który kryje w sobie zjadł „spandau” czy „szmajsera”. I leci nowy pocisk działka, nowe szczyrbienie niemieckiej barykady.

Tymczasem niemiecka obrona pcha swój *Offenrohr* w zarośla, idące od jaru i pnąc się wąskim językiem pod zbocze, którym idzie droga w zabudowania wioski. Podchodzi obsługa, niewidoczna na odległość strzału, i z dwudziestu metrów nastawia blaszaną rurę, jak wyrzutnię torpedową. Zwolniono uchwyt



ZDOBYTY CZOŁG

Fot. Karol Kleszczyński



CZOŁGI I MUŁY

Fot. Karol Kleszczyński

wań na Montemaggiore, przede wszystkim od przekłętą zakrzewioną wybruszenia, nazywaną brodawką. Pójdzie więc nowe wsparcie ognia.

— Tytus woła Halię, przedkłużyć... — Idzie głos do słuchawki znad obserwacji, wpatrowanej lornetką w przedpole. Na punkcie obserwacyjnym i zarazem punkcie dowodzenia telefony dyktują i poruszają dalekie działa, dalekie moździerze, dalekie i niewidoczne karabiny maszynowe. Na przełęczy wkopały się w małe rowy pod osłoną karłowatych, górskich sosenek wszystkie środki łączności, z radiostacją na czele, wkopały się nerwy, których wyczulone i wpatrzono sondy zagłębiają się i w ten diabelny zakręcony wzgórek, i za ten jar na prawo, i tam głęboko, gdzie wystrzelają w niebo dwa samotne cyprysy na Casaluda, gdzie jeszcze dziś pójdzie uderzenie. Te sondy zmieniają się w decyzje, by spłynąć drutami jako rozkazy. Tutaj, w tej chwili, opodal szczytu Monte Mirabello dowództwo zszywa działania wszystkich oddziałów, wiąże każdy krok żołnierski w wachlarz przemysłanej operacji, harmonizuje, by dać zwycięstwo. Stąd biegną łącznicy do poszczególnych dowodów, tu przychodzą meldunki. Tu się stawia diagnozę. Męstwo żołnierza i największe jego poświęcenie nie dałoby oczekiwanych wyników, gdyby nie zostało ujęte w tryby dokładnej maszynowej operacyjnej. Głęboko przemysłanej i przepracowanej. Dokładność i zgranie dadzą zwycięstwo przy najmniejszych stratach, bo tylko ta dokładność i szarmonizowanie zmniejszają upust krwi w poniżej leżących oddziałach. I dlatego kompanie nie pójda ponad tą brodawką, póki nie zostanie ona wycięta lancetem artyleryjskim czy obsługi moździerzy.

— Złamać opór nieprzyjaciela w tych krzakach ześrodkowanym ogniem, — mówi

sące się poniżej, i liście, kwitnące purpurą, — rozrywa tumult bitewny. Już kiedyś tak samo rozrywane było to niebo i te liście. W rzeczywistości szlakiem. I może to wspomnienie musnęło walczących, bo wszystko już jazgoce, dzwoni, huczy, dudni. Gdy zaś nagle jakaś nieoczekiwana cisza wdrze się — to tam, na prawo gdzieś, szumi stokrotnie kaskadami odpalen i ech — broń maszynowa, jak wiatr, hulający zimową porą po Skupniowym Upiązie w Tatrach. I znowu tę ciszę chwilową gnieć ciężka, artyleria, by przy akompaniamencie szybkiego gwizdu „szmajserów” grać wszystkimi akordami całej klawiatury wojennej, obejmującej cele dzisiejsze: San Martino in Avello, Montemaggiore, Marsignano.

Na lewym skrzydle „szmajserów” grają dysonansem z „tomiganami”. To walczą Calboli, nie mówiąca nazwa górską, jak tyle innych, które do historii naszych walk wniosie żołnierski czyn.

— 50 jardów w prawo... — idą przez słuchawki dalsze poprawki, a gdzieś nad Forlì ponad kurzawą, wysoko pod niebo bijąc, huczą dalej pracowicie bombowce, wykończające obronę lotniska. Grzmoty dalekie przewalają się, cichną, oddalają. Słychać już tylko echa z innych odcinków frontu. Na naszym artyleria skończyła swoją robotę, moździerz umilkł, nawet niemieckie „spandauy” skonały. Może dosłownie.

Znowu kompanie uderzyły w zbocze, wgrzając się w szkarpa. Nie zrobiły trzech kroków, gdy od skrzydła dostały ten sam niemiecki ogień, który je tu już tyle czasu trzymał przy ziemi. A obrona biła kośbą niską, celną, dokładną. Szkarpa stała się znowu granicą życia dla niejednego. Siebja jazgotała załad, bliska i nierozpoznawalna w tej kilkudziesięciometrowej odległości. Był tam

u wlotu, wsunięto rakiety pocisk, elektryczne odpalenie i czołg dostał w gasienicę.

Zaloga poznała ten wstrząs i głos, bo go już niejednokrotnie słyszała w walkach na ziemi włoskiej. Nie dała za wygraną, — kierowca manewruje, chcąc dopaść jakieś osłony, dowódca wypatruje, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo. Ale krzaki są poniżej szosy i czołg z bliska jest już niewidomy. Łupie więc działko, a kierowca mozoli się nad wyprowadzeniem zranionego czołgu znad tego języka i spod ostrzału. Wrócić nad zakręt i stamtąd skosić ten *Offenrohr* i jego obsługę! — Nie skończył dowódca, gdy nowy pocisk przeszył pancerz i bluznął krwią obsługi po pancernych ścianach.

Ogluszony kierowca trwa przy sterze, jeszcze usiłując prowadzić swoją „Zochę“, i nie zważa na jęki kolegów. Wyjeżdżamy! — Ale motor dławi się, brak mu już tchu, gasienic. Wspaniały ich czołg, którym tyle walczyli, którym tyle niemieckich zawojowali, — konał w bezruchu. Zmieniał się w masę bezdusznego żelastwa. Uchodziło z niego życie. Umierał i z nim umierała zaloga.

Ale wyrąbanym przejściem szła piechota, przypadała za zdobywanymi domami i okrzakała tych z *Offenrohr*em. Już wiedzieli, gdzie są. Nie popuszczają. Krótka walka, — ot taka, jak tyle innych codziennych i nocnych, patrolowych i wypadowych. Granat i „tomigan“, krótkie odszczeknięcie „szmajsera“ i uchodzący zabójcy czołgu nie uszli z życiem. Leżał, ciężko rzucając, a obok piaskowego kołoru rura i ostatni, niewystrzelony pocisk.

Z czarnego, smutnego czołgu ktoś wynosił ciała i ciężko wychodził, ślaniając się na nogach. Czołg został samotny przy drodze.

A gdzieś daleko, wysoko ponad Marsignano, na prawym skrzydle, rozpoczynała się nowa walka. Artyleria biła w długi palec wzgórz, zakończony szczytem Casaluda, ostatnim wychodzącym na dolinę Forli. To szły w taniec nowego natarcia oddziały lwowskiej. Miały za sobą sławę zdobycia Predappio, rodzinnej miejscowości Mussoliniego, miały piękne walki o „ziemię Duce“, — pójda po ostatnie wzgórze na północy. Niemców zmęczonych uderzeniami na San Martino

in Avello na zachodzie, kompleksem Montemaggiore i walką w Marsignano, — wysadzą z Casaludy świeżym atakiem. Idzie walka czteropalczaście na całej długości frontu.

Zdobycy Predappio biorą kompleks Casaludy, wiodącej od szosy z Predappio do Forli. Drapią się po stromym zboczu, przedzierają się przez winnice, tu i ówdzie jeszcze na dolinie zżocone się, ostrożnie wypatrują miny, których niemiecka obrona nie szczędzi, mijają pułapki.

Słońce grzeje jeszcze mocno, choć poszli o drugiej. Obrona rygluje przejścia, tak jak je minowała, kładzie pociski moździerzy i artylerii.

Właśnie na skrzydle prawym uderzenia polskiego, pierwszym palcu tej operacji, tam gdzie walka idzie od rana o Calboli, o San Martino in Avello, piechota N. weszła już głęboko w teren, a teraz idą czołgi. Przedarli się przez przełęcz pod Monte Colombo i, walcząc z terenem, pchają się do przodu. Ta walka z terenem jest nie mniej groźna od walki z nieprzyjacielem. Już jeden czołg z trzech idących ugrzązł w błocie po brzuch stalowego pancerza. Teren podmokły, droga wąska, — czołg siedzi nieruchomo. Trzeba będzie wyciągać na linach, trzeba będzie całej skomplikowanej pomocy ratowniczej, której tyle codziennie na tych drogach i dalej w tyle, którądy przechodzą nad głębokimi przepaściami codziennie wozy z amunicją, z żywnością. Wojna w Apeninach to wojna w pierwszym rzędzie z terenem.

Osiadł jeden czołg, a dwa inne ruszyły, wykonywać powierzone im zadanie. Znowu strome zbocze, znowu trudności, ale suną cielska ku zabudowaniom, z których Niemcy utworzyli barykady. Wykurzają ich, dom po domu, i napędzają, jak rybak do sieci, a nagonka myśliwska w lesie pchnie ich pod ostrzał najszej piechoty. Kruszeją domy i kruszeje obrona. Nawet ta desperacka, niemiecka obrona, która, pomna na groźce jej kary za opuszczenie stanowiska, bije się z wściekłym uporem. Nasz piechur umie łamać ten upór i umie go unicestwiać. Dlatego wciąż walczy, dlatego toruje drogi i zmienia fronty w tych górach, w nich jeszcze tkwiąc, zamiast spłynąć na

dolinę. Ale może ta walka wykończy górskie operacje...

Słoneczne popołudnie 5 listopada 1944 roku osiadło chłodem w górach. Słońce zniknęło za szczytami, barwne malujące fioleto, jak u nas w Pieninach, w Gorcach, czy w Czarnohorze. Cisza wraçała na tym skrzydle frontu i w szkole po przeciwnej stronie szczytu Monte Mirabello koguty piał zwycięsko uniknąwszy śmierci z rąk walczących już na północy oddziałów. Poniżej za zakretem stoją łązki i biorą rannych, by przewozić ich do dalej położonych punktów szpitalnych, do dalekiej Strady. Łązik jest nieoceniony w górach: dowozi amunicję i żywność, przewozi rannych tam, gdzie żadna sanitarka przejechać nie zdoła. Jest uniwersalny. Dalej przesuwają się pożyteczne muły, docierające tam, gdzie tylko człowiek przejść może. Obładowane pociskami moździerzy i skrzynkami amunicji maszynowej, wodą i żywnością, chodzą spokojne w tej wojnie, choć już u kresu wytrzymałości. Prowadzą je nasi przewodnicy na poszczególne punkty, a poganają jako mułowodni górale z Cypru.

To już jest druga strona tych szczytów, to już jest bezpośrednie za linią frontu zaplecze. Jutro nie będzie tu już śladu walki. Pozostaną gdzieś niegdzie telefoniczne druty, jeszcze nie zdjęte, pozostaną dołki od wybuchów pocisków artyleryjskich, ślady kół, stanowiska z nieuprzątniętymi łuskami i stosy tekturowych opakowań z pocisków. Wojna szybko przechodzi i wracają do dobytku mieszkańcy północnych Włoch. Słabiej tu już słychać nowe odgłosy walki, — jak głosy idące bokiem burzy. Ale poza pasmem, ciągnącym się od Predappio Alto po Monte Colombo, dogasał jeszcze bitewny gwar. To oddziały włoskie i Rysie lwowskie wykaczały znojnym dzień. Gdzieś niegdzie poderwał się jeszcze ostatnim warknięciem śmiertelnie zraniony „szmajser“, gdzieś niegdzie padł samotny, pojedynczy strzał karabinowy, zapłotał rozryw granatu, gruchnęło niespodziewanie działko. Bitwa wygasła. Znoszono rannych i zabitych, prowadzono jeńców. Przeszukiwano zarośla, domy, — może jeszcze ukrywają się Niemcy, by uciec, wysmyknąć się

zwycięzcom.

W zdobytych celach natarcia szukano stanowisk, wysyłano ubezpieczenia, przygotowywano się do nocnej niespodzianki, którą mogło być niemieckie przeciwnatarcie. Oddziały polskie przesunęły front o cztery kilometry walki o każdy metr zboczy na Calboli, na San Martino in Avello na prawym skrzydle natarcia, wzgórze Montemaggiore, czy na Marsignano i Monte Testa. Cel natarcia nie tylko trzeba zdobyć, ale i utrzymać. Więc sposobili się do nocy, osłoniętej ciemnością. A w zdobytym Marsignano i na Monte Testa gotowano się do dalszej walki i za Rysiami wkraczały Wilki.

Osiemnastka trwała zwycięsko przy dwóch samotnych cyprysach na Casaluda. Wdrapała się po ostrym zboczu tej ostatniej góry, wyciągniętej nad dolinę lombardzką, na ostatni niemiecki szanec górski na tej osi frontu. Ale nie miała mieć nocy spokojnej. Niemieckie oddziały chciały stać mieć jeszcze, tak jak miały do dnia dzisiejszego, wgląd na dolinę, wgląd na Forli atakowane od Rimini. Niemieckie oddziały wezmą z powrotem Casaludę.

I długo w noc samotne cyprysy rozblyskiwały ogniem wybuchów. To szły niemieckie przeciwnatarcia. Jedno, drugie, trzecie, czwarte, piąte... Zostawali ranni i wracali żywi, opętani wściekłym pędem ataku. Bo to był atak nie na bagnety, ale na rzuty granatem, na śmignięcie „szmajsera“. Lwowski nie ustępował z tego, co z takim trudem zdobył. „Tomiganem“ odpowiadał na „szmajsera“, granatem na granat, atakiem na atak i trwał, wrośnięty pod te cyprysy, w tę górę, w tę przełęcz. Odparli wóśrók nocy listopadowej pięć przeciwnatarć niemieckich, utrzymali dwa cyprysy, które dla niejednego Niemca stały się cmentarnymi cyprysami. Bo lwowskie chłopaki były się o Lwów, tak jak sąsiednie baony nie walczyły o San Martino in Avello, o Montemaggiore i inne Marsignano, ale o Polskę.

I zwyciężyli, choć walka była uciążliwa, zażarta i miała swoje kryzysy, jak je każda bitwa mieć musi.

Ignacy Kleszczynski

STANISŁAW KOŚCIAŁKOWSKI

WSPOMNIENIA SPRZED 35 LAT

PRZYSZYŁEK DO ŻYCIA METROPOLITY SZEPTYCKIEGO

Depesze doniosły, że w dn. 1 listopada b.r. zmarł we Lwowie w 80-tych roku życia arcybiskup metropolita lwowski obrządku grecko-unickiego, Andrzej Szepcicki, wielki działacz narodowy ukraiński.

Wybitną tę postać episkopatu w Polsce, mającą tylu żarliwych zwolenników, co i gorących nieprzyjaciół, b. minister W. R. i O. P. ks. Kaczyński w oświadczeniu pośmiertnym, złożonym P.A.T., nazwał „człowiekiem, łączącym w swej osobie harmonijnie godność księcia kościoła katolickiego, wielkiego patriotę ukraińskiego i lojalnego obywatela Polski“. Sądźmy, że przyczynek niniejszy zainteresować może nie tylko biografów metropolity Szeptyckiego, ale i szerszy ogół.

Red.

Z powodu zgonu metropolity Szeptyckiego pragnę tu podać do wiadomości publicznej mało komu znany szczegół z jego życia, świadczący dowodnie o tym, że zmarły dostojnik kościoła brał żywo do serca, z narażeniem osobistym nawet, już przed kilkadziesiąt laty, na długo przed wskrzeszeniem Państwa Polskiego, nie tylko najbliższe mu sprawy narodowe ukraińskie, ale i sprawy ruchu białoruskiego.

Ruch ten, sięgający początkami swymi okresu romantycznego i wielkiej doby Uniwersytetu Wileńskiego (Jan Czeczot), kontynuowany później przez szlacheckich epigonów romantyzmu, takich jak Artemiusz Weryha, jak Bohuszewicz, Marcinkiewicz i in., na odmiennych zasadach o charakterze separatystycznym i społeczno-narodowym kształtował się począł w końcu w. XIX i początkach w. XX, znalazłszy nowy dla siebie impuls we wstrząsie polityczno-rewolucyjnym, jaki przeszedł przez imperium rosyjskie w r. 1905.

Wówczas to wychodził począł w Wilnie w r. 1906 pismo tygodniowe w języku białoruskim p.t. *Nasza Dola*, niebawem zamknięte przez władze administracyjne rosyjskie i wydawane później w dalszym ciągu pod zmienionym tytułem *Nasza Niwa*. Wychodziło ono początkowo w dwu mutacjach, w wydaniu cziionkami łacińskimi (antykwa) i cziionkami rosyjskimi (grażdanka), jako przeznaczone dla białorusinów katolików i białorusinów prawosławnych, usiłując dostosować się do dwójki wpływów; — zachodniego i wschodniego, którym ruch białoruski początkowo ulegał.

Założycielem pisma, jego wydawcą i duchem opiekuńczym, obok kilku innych ideowych działaczy białoruskich — był Jan Łuckiewicz, zmarły w r. 1921 w Zakopanem na gruźlicę, którego imieniem później, już za czasów polskich, nazwane zostało początkowane przez niego białoruskie muzeum narodowe w Wilnie.

Jan (Iwan) Łuckiewicz pochodził z rodziny polskiej i katolickiej, był wraz z bratem Antonim, znanym później działaczem białoruskim, wychowawcą gimnazjum mińskiego, odbywał studia w Petersburgu, następnie zaś przez czas pewien żył w Krakowie. Tam też w r. 1904/5 podczas studiów moich na Uniwersytecie Jagiellońskim zetknąłem się z nim

po raz pierwszy. Rozwijał wówczas Łuckiewicz na gruncie krakowskim niezmierznie żywą działalność i wraz z dwoma braćmi Majewskimi, studentami U.J. (starszym Stanisławem, późniejszym dyrektorem gimnazjum w Wilejce Powiatowej i w Nowym Mieście na Pomorzu, i młodszym, w przyszłości szwagrem Józefa Piłsudskiego) był założycielem pierwszego w Krakowie Koła Studentów Białorusinów, z którym wszedłem w pewne stosunki skutkiem tego, iż zbierałem wówczas na terenie ludu białoruskiego „rzeczy ludowe“ i ogłosiłem w r. 1901 w *Wiśle* Erazma Majewskiego (jako pierwszą swoją rzecz drukowaną) *Pieśni z pow. Sokólskiego*.

Toteż gdy w r. 1906 przybyłem na stałe do Wilna, widywaliśmy się często z Łuckiewiczem, jako dawni koledzy krakowscy, mający wspólne wspomnienia i wspólne zainteresowania. Łuckiewicz był ze studiów i zamiłowań archeologiem. Znał się na rzeczy, umiał odnajdywać zabytki, nieraz pierwszorzędnej wartości, i trafnie je oceniał. Zgromadził już wówczas cenne zbiory, które stały się później zapoczątkowaniem wspomnianego już muzeum białoruskiego w Wilnie. Podobnie T-wa Przyjaciół Nauk w Wilnie, założone w r. 1906, w którym pracowałem, dążyło do stworzenia własnego polskiego muzeum (i stworzyło je z czasem istotnie!); z tego powodu działalność nasza nieraz się zagałębiała z działalnością Jana Łuckiewicza, który odznaczał się niezwykłą ruchliwością, przywoził niejednokrotnie ze swych wędrowek po kraju nader cenne zabytki historyczno-archeologiczne i artystyczne, tajemniczo gdzieś zniknął z nimi, przywoził znowu te same lub inne... Wiedzieliśmy, że nie tylko jeździł po kraju najbliższym, ale sięgał do ziem b. Rzplitej wszystkich trzech zabórów i niekiedy wychylał się nawet gdzieś dalej zagranicę. O tych wędrowkach „swoich“ mówił ze mną zazwyczaj mało i tylko ogólnikowo, powoływał się przy tym na to, że te jego wycieczki i wyjazdy, że to wyszukiwanie cennych muzealiów pozwalała mu nawiązać stosunki „z bardzo wpływowymi osobistościami“ i że jest źródłem, dostarczającym środków pieniężnych na finansowanie nikłych jeszcze wówczas początków ruchu kulturalnego białoruskiego i wydawnictwa *Naszej Niwy*, które bądź co bądź wymagało dość znacznych kosztów.

Za nawrotami pobytu swego w Wilnie odwiedzał mnie niejednokrotnie w moim mieszkaniu, tak jak ja go odwiedzałem niekiedy w redakcji *Naszej Niwy*, która mieściła się przy ul. Wileńskiej, na rogu ul. Gdańskiej (wówczas Nowej) w domu Trzeciaka, — w dwu ciasnych izdebkach, niezmiernie ubogo umeblowanych, opalanych małym, żelaznym piecykiem, w których zimą panowało stale dotkliwie zimno. Było tu mieszkanie Łuckiewicza i paru współpracowników redakcyjnych, jednocześnie *Kniharnia* (czyli księgarnia) *Naszej Niwy* oraz miejsce spotkań przyjaciół, sympatyków ruchu białoruskiego.

Gdy się widziało straszliwą biedę, wyziewającą z każdego kąta tego lokalu, przypominającego ów „pokój książęcy“ łózko — miotła

— nic więcej“ ze znanej piosenki, rozumiał się, że tak żyć i tak pracować mogli z zapałem siebie — tylko zawzięci fanatycy pewnej umiłowanej idei, przymierający głodem, oparci o bardzo słabe źródła dochodowe, wszystko, co mają, oddający „sprawie“. To usposabiać musiało przychylnie dla nich każdego, bez względu na to, czy się podzielało ich poglądy, — czy też nie, i kazało sądzić, że ruch, któremu służyli, szerszego poparcia z zewnątrz nie miał żadnego i zrazu wszystko niemal zawdzięczał wysiłkom jednego czy paru ludzi.

Podczas spotkań z Łuckiewiczem godzinami wykłócaliśmy się w niebogłosy na tematy polityczne, społeczne czy ideowe, zwłaszcza że często różniliśmy się w poglądach swych wprost biegunowo. Nie mniej jednak stosunki nasze wzajemne po dawnemu były zażyłe i przyjazne. Powołując się wszakże na swoje znajomości i związki z „najwybitniejszymi i bardzo wpływowymi osobistościami“, które ruchowi białoruskiemu sprzyjały i miały go popierać, nigdy przez lat parę mi nie mówił, kogo mianowicie miał na myśli.

Dopiero w r. 1909 (miesiąca ani daty dziennej nie pamiętam) pewnego wieczoru — koło godz. 9-iej — przyszedł do mnie Łuckiewicz, jakiś tajemniczy i uroczysty, i wzięwszy ode mnie słowo, że to, co powie, zachowam na razie i przez czas dłuższy w zupełnej tajemnicy, oświadczył mi, że ks. metropolita Andrzej Szepcicki, wielki przyjaciel ruchu białoruskiego, incognito, w sposób zakonspirowany przybył przez granicę austriacko-rosyjską do Wilna, by na miejscu zapoznać się z tym ruchem bliżej oraz z jego przedstawicielami, że jest obecnie w redakcji *Naszej Niwy* i że życzyłby sobie mnie poznać, jako Polaka, z którym Łuckiewicz łączy od dłuższego czasu pewne węzły przyjaźni.

Oczywiście poszliśmy natychmiast.

Jakoż istotnie, w wewnętrznej izdebce redakcyjnej, której okno, wychodzące na podwórze, było szczelnie zastonięte, ujrzałem okazałą postać siedzącego na jednym z nielicznych krzeseł mężczyzny w ubraniu cywilnym, około pięćdziesięciu lat liczyć mogącego, o miłym inteligentnym wejrzeniu, z podstrzyżoną blond brodą, któremu paru z obecnych współpracowników *Naszej Niwy* (nazwisk ich nie pamiętam) okazywało nadzwyczajny szacunek.

Przyprowadzam za łaskawym zezwoleniem Ekscelencji, — rzekł Łuckiewicz, — p. S. K., sekretarza tutejszego polskiego T-wa Przyjaciół Nauk, żeby się naocznie przekonał, że sprawy nasze cieszą się życzliwym poparciem Waszej Ekscelencji.

Sądzę, że obecność moja tutaj będzie dla pana dostatecznym na to dowodem, — rzekł metropolita z uprzejmym uśmiechem, podając rękę — i że odtąd nie będziesz pan o tym wątpił, — i począł mnie wypytywać o sprawy, związane z działalnością świeżo powstałego T-wa Przyjaciół Nauk i tworzącego się jego muzeum, które zdawało się go szczególnie interesować. Wyraził przekonanie, że

działalność naszego muzeum i muzeum cerkiewnego unickiego we Lwowie (które — jak się okazało — za pośrednictwem Jana Łuckiewicza gromadziło i na naszym terenie zabytki sztuki kościelnej) — nie będą sobie wzajemnie wchodziły w drogę, że powinien tu panować pewien podział przyjaznej współpracy, gdyż zabytki historyczne świeckie i sztuki kościelnej łacińskiej przez kierownictwo muzeum lwowskiego nie były brane pod uwagę, wreszcie przeźornie zauważył, że wielu zabytkom może bezpieczniej będzie we Lwowie, niż w Wilnie, „gdyż — dodał — nie wiemy, co nas czeka“. Wyrzcił w końcu chęć odwiedzenia zbiorów T-wa Przyjaciół Nauk, które mieściły się wówczas za Ostrą Bramą przy ul. Nowa Aleja, w pałacyku, na cel ten ofiarowanym przez hr. Przeździeckiego.

Po półgodzinnej może pogawędce pożegnałem metropolitę i obecnych, nie chcąc, jako osoba postronna, przeszkadzać bardziej poufnyemu rozmowom.

Nazajutrz metropolita, oprowadzany przez Łuckiewicza, zachowując swoje incognito, — odwiedził istotnie zaczątki naszego, polskiego muzeum (kierowanego wówczas przez ś. p. dra Władysława Zahorskiego) i złożył podpis w księdze gości, podpisując się „Andrzej“, który to podpis istniał w tej księdze, przechowywanej w kancelarii T-wa aż od r. 1941 i może służyć do ustalenia ścisłej daty dziennej pobytu metropolity Szeptyckiego w Wilnie, (o ile księga ta dotąd istnieje).

Więcej już metropolity nie widziałem. Nie wiem, jak długo bawił w Wilnie i dokąd się stamtąd udał. Słyszałem tylko, że miał odwiedzić Mińsk, Kijów, a kto wie, czy nie dotarł nawet do Petersburga, — skąd wrócił pomyślnie do Lwowa. Incognito jego oraz ścisła tajemnica co do zaprawde wielce ryzykownego przedsięwzięcia i odwiedzenia przez niego ziem, leżących w granicach państwa rosyjskiego, została widocznie ściśle zachowana.

Jednakowoż koła biurokracji rosyjskiej, zbliżone do Departamentu Wyznan Obcych rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, poczęły coś wtrząść, czegoś się domyślać. Wyrazem tego był ogłoszony w kilka tygodni, — jeśli się nie myle, — po zakończeniu konspiracyjnej wycieczki metropolity i powrocie jego do Lwowa, napastliwy artykuł w *Nowoje Wriemnia*, niezmiernie wpływowym i, trzeba to przyznać, świetnie redagowanym organie kół wyższej biurokracji rosyjskiej.

Artykuł ten dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że autor wie o zakonspirowanej podróży metropolity Szeptyckiego, domyślał się, że podróż ta miała na celu poznanie i poparcie separatystycznego ruchu białoruskiego i ukraińskiego, i widział w tym niedopuszczalną „polską intrygę“, która fatalnie wpłynąć może na dalszy układ stosunków między Cesarstwem Rosyjskiem a Monarchią Austriacko-Węgierską.

Aczkolwiek artykuł ten — o ile przypominam sobie — był powtórzony i komentowany przez inne pisma rosyjskie, jednak rzecz cała, widocznie oparta jedynie na pogłoskach i nie mająca za sobą dowodów niezbitych, (Dokończenie na str. 12-iej)

ZMOWA NIEOBECNYCH

(Dokończenie ze str. 7-ej)

czaszką? Niby dziś, słyszę, co powiedział: „Wolałbym, żeby królem stworzenia był koń. Kości na polach byłyby mniej straszne“. A ja się oburzałam: „Każda śmierć jest straszna“. A on powiedział: „Nie. Tylko z ręki człowieka. Niedługo zresztą pełno ludzkich kości tu będzie w tym polu“. — „Tak, on ma jakiś szósty zmysł. Może właśnie dlatego udało mu się dotąd uniknąć śmierci, choć żyje w takich opałach“ — „Nie rozumiem, jak mamusia mogła uwierzyć temu nieszczęsnemu listowi!“ — „Bo mamusia nie wierzyła, żeby zwyczajni ludzie zasługiwali na cuda“. — „To nie był żaden cud. Jeżeli ktoś ucieka z niewoli i strzelają do niego i potem nie o nim przez szereg miesięcy nie słycać, to kolega miał prawo myśleć, że Krzys zginął... A Krzys mimo to miał prawo ocaleć“. — „Krzys miał nawet prawo zmartwychwstać. Ale mamusia miała już prawo odpocząć“. Zacięły, znowu smutne.

Przez miasteczko przemknęły szybko, jak przez dom, nawiedzony chorobą. Na tyłach kościoła, za rynkiem, szosa przybliżała się do rzeki. Zdzieciałe sady śliwkowe zalegały wąski, zielony pas nad wodą. Sitowie tworzyło jego frendzlę. „Ach! — krzyknęła Zuzia, — zapomniałam o tataraku...“ Zbiegła na sam brzeg zatoczki, gdzie woda, pokryta ostatnią pianą wiosennych przyborów, pluskała o kładkę, do której czasem przybijały łódzie. Po jednej stronie kładki rzeczywiście rósł bujny tatarak. Ukłękła, wyciągnęła ramię i zaczęła silować się z ostrymi liśćmi. Pędy były śliskie i bardzo mocno siedziały w dnie. „Żeby tak noża!“ Wtedy ktoś zakasał tuż obok. Na trawie stał stary Walczak, powroźnik, zamieszkały w ruinach nadrzecznej śpiżarni. Teraz brama była otwarta i przez nią, w głębi podwórca, który powstał na miejscu magazynów, między sędziwymi, grubymi murami, pod zdawien dawną nieistniejącym dachem widniał warsztat, wystawiony na wszelkie pogody, — tak pierwotny, nieustępliwy, jak świat. Pakuły, pęki konopi, zalegały klepisko... Zuzia podskoczyła: „Panie Walczak, dzień dobry! Pan mnie nie poznaje? Tataraku chciałam zabrać sobie do Warszawy...“ Walczak poprawił kaszkiet. „Poznać, to ja panienkę od razu poznał. A tylko co tataraku, to jaby się tutaj nie tknął w tym miejscu“. — „Dlaczego?“ — „Wzruszył ramionami. „Jakoś opacznie człowiekowi coniebaż tu ruchać, odkąd ta Ester z ty kładki do rzeki skoczyła“. — „Jaka Ester?“ — „Dyć ta, co tak tańcowała za kozami i śpiewała po górach, krawcowej Rywki córka“. — „Ach, ta chudziutka, ta rudka? Co się z nią stało? Ona często na jabłko do nas zachodziła“. — „Ta sama. Jak się Niemcy wzięli miesiąc temu obławy na Żydów robić i na ciężarówki ich pechać, tak naraz gruchnęło między narodem, że całkiem nie na roboty, ino na uduszenie jakimś diabelskim sposobem ich wieźć. Tak Żydostwo w gwałt, — i uciekać. To Gestapo kulomiotami po nich. Ale dzieciaki są prędkie. Te Żydzieta, jak gąski przestraszone, na wszystkie boki wprost po powietrzu fruwały. Niektóry dzieciak przypaść gdzie w rowie, albo do piwnicy uskokczył, to, — chociaż psami szeszuli, — w takim harmidrze żyw się ostał i potem go ludzie ukryli. Ale ta Ester gdzie ino, skikałają, grzywą trzągnie, z tych jej rudych piersiunków skry lecać, a i chustkę akurat tego dnia na plecy zawdzięła krasą, co była oczy rwała. To ten Szwab za nią, jak cma do ognia. W rynku ji dopadł... Jakże nie ułapi za włosy, nie kopnie! Ta Ester na bruk bez słowa padła. Swoją drogą, ledwie się diabeł odwinął, ona już znowu na nogach, — i le-ci! Prawdziwie, że chyba jakieś żydowskie anieli ją nieśli, bo te nożyny to tylko nad ziemią migali, a psy za nią; a po kamieniach, po piachu — krew z rany, co od kopnięcia dostała. Jażem na wzgórkę wpodłe śpiżarni stojał, przefurknęła tą chustką koło mnie, hop! na kładkę, psy się zastanowili, a ona tylko ręce w górę podniosła, zacierwieniła, zabyłszy na wodzie, plusk poszedł — i po niej... Skończyła się ta Ester w ty rzece“.

— „Zuziu, prędzej!“ — Kira wołała z zosy. Ale Zuzia patrzyła teraz w wodę, jak w lustro upiorów. „Nikt jej nie ratował?“ — szepnęła. — „Dyć ziańdarmi ją za włosy wyciągli, sukienkę zawlekli, bili, sturchali, ale oczu ani ust nie zamkła, choć niegdyś już nie widziała i głosu wydać nie mogła... Dejcie mi ją, — powiem, — w tę krasą chustkę ją owinę, na kierkut zaniosę, choć nie Żyd, grobek dzieciakowi uniknie, ale niko go już takiego nie stało, coby tę młodą Ester sposobem starozakonem pogrzebał! Nie dali. Całki dzień martwa na deskach leżała, jaż Oberst przyjechał i fotografię z niej zjął. Dopiero do rzeki z powrotem ją zepchli. Ale włosy to w tatarak się zapletli i jeszcze trzeciego dnia cości rudo pobłyskiwało na słońcu“.

— „Gdzie twój tatarak? — spytała się Kira, kiedy Zuzia wróciła z nad rzeki. — Coś ty taka błada?“

Zuzia milczała. A to już siostry poznały w ciągu blisko czterech lat wojny, że milczenie jest prawem, którego nawet wróg złamać nie potrafi. Więc dopiero w pociągu Zuzia dokończyła nadrzecznej rozmowy. „Gdzie mój tatarak? — powiedziała. — Przepadł. Tatarak w Polsce nie jest już tatarakiem, — straszy“.

Maria Kuncewiczowa

IRENA KEJLIN

„JAK FENIKS Z POPIOŁÓW...”

— Otwierając tę dyskusję, pragnąłbym, aby ta ustawa zajęła należne jej miejsce...

— W koszu do papierów! — przerwał ministrowi Morrisonowi poseł Haden Guest z Labour Party.

„Ustawa o planowaniu miast i kraju“ (*Town and Country Planning Bill*) nie skończyła życia w koszu do papierów, lecz mimo ostrej krytyki została uchwalona.

Blitz roku 1941 obudził zainteresowanie szerokich warstw ludności w Anglii dla urbanistyki. Na łamach prasy zaczęły się pojawiać artykuły nie tylko rzeczoznawców, lecz także i liczne projekty czytelników. Wykwitały sny, marzenia i wizje nowych, pięknych miast. W szarym człowieku obudziła się świadomość, że do życia potrzebne mu także otaczające go piękno. Żaloba nad zgłoszczami i ruinami złagodzona została nadzieją na stokroć od nich piękniejsze dzieła przyszłości. Wypowiedzi czynników miarodajnych podtrzymywały nadzieje ogółu i podniecały wyobraźnię.

— Nowe miasta powstaną jak Feniks z popiołów w miejsce miast spalonych, — mówił premier Churchill. — Ład i piękno nowych założeń urbanistycznych zastąpią przypadkowość, ciasnotę — zapewniał minister odbudowy, Morrison. Znikną slumsy, na ich miejsce pojawią się zieleńce i parki, — obiecywał minister zdrowia. Rząd z początku zachęcał, a potem napierał i naglił do projektowania ambitnych, długoterminowych planów przebudowy. Plymouth, Hall, Bristol, Londyn i wiele, wiele innych miast opracowało plany dobre, zdrowe i piękne, — zdające się zapowiadać nową erę w urbanistyce. Rząd zamierzał planowanie na skalę ogólnokrajową.

Ministerstwo Budowy i Robót Publicznych (*Ministry of Works and Buildings*) wyznaczyło w r. 1941 komisję do zbadania warunków użytkowania ziemi na obszarach wiejskich. Komitet Scott'a złożył w r. 1942 sprawozdanie i przedstawił wnioski na temat umiejscowienia przemysłu i ochrony terenów rolnych. Komitet Uthwatta jeszcze szerszej i głębiej opracował zagadnienie planowania, zajmując się konkretnymi już sprawami uzyskania terenów, potrzebnych do przebudowy, kontroli rozwoju miast i podniesienia kultury mieszkaniowej.

Oba te sprawozdania tak głębokie wrażenie wywarły na opinii publicznej i wywołały takie zainteresowanie, że parlament powołał do życia w r. 1943 nowe ministerstwo Planowania Miast i Kraju. Pierwszym krokiem nowego ministerstwa było ogłoszenie Ustawy Mieszkaniowej (*Housing Bill*), która ma na celu dostarczenie mieszkań tymczasowych zarówno dla wielkich rzesz bezdomnych, pozbawionych dachu nad głową skutkiem zniszczeń wojennych, jak i setek tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy po ich powrocie do kraju.

Został jeden tylko jeszcze krok do zrobienia: opracowanie ustawy, któraby ujęła wszystkie wnioski obu komisji w konkretne ramy i nadała im formę prawną. W lipcu roku 1944 minister Morrison preferował Ustawę o Planowaniu Miast i Kraju. Należy na marginesie zaznaczyć, że wbrew zwyczajowi, stosowanemu w okresie wojny, po raz pierwszy od trzech lat rząd przedstawił parlamentowi r o w n o c z e ś n i e Ustawę i Białą Księgę, pozbawiając w ten sposób posłów możliwości dyskusji preliminarnych nad Białą Księgą.

O duchu tej ustawy świadczy najwymowniej kierunek, z jakiego padły słowa krytyki i protestu. Minister Morrison uprzedził, że spodziewa się niezadowolona z obu stron, z prawa i z lewa. Ze ustawa rządu koalicyjnego, decydująca o tak drastycznych sprawach, jak wywłaszczenie, — będzie uważana przez konserwatystów za zbyt daleko idącą, przez Partię Pracy — za zbyt łagodną. Otóż nic podobnego nie nastąpiło. Fakt, że konserwatyści milczeli, bynajmniej nie świadczy o ich potulności. Oddychali oni głęboko z ulgą i wdzięcznością. Jedyne głosy sprzeciwu odezwały się z ław Labour Party.

Pomiędzy główny postulat labourzystów, stawiany raczej dla zaznaczenia zasadniczego stanowiska partii w tej sprawie, że jedyną podstawą racjonalnej odbudowy może być wyłącznie upaństwowienie ziemi. Ostatecznie nikt, nawet i Labour Party nie mogła się spodziewać od rządu koalicyjnego tak rewolucyjnego kroku. Chociaż nawet warto dodać, że „Uthwatt Committee“, składający się z rzeczoznawców różnoprzecznych i bezpartyjnych, podał w swoim sprawozdaniu: „Jeśli mamy traktować to zagadnienie jako kwestię akademicką, nie bacząc na konsekwencje administracyjne i inne, — jedynym logicznym rozwiązaniem byłoby natychmiastowe uznanie całej ziemi za dobro publiczne“. Ale zaraz potem rzeczoznawcy dodają: „Lecz wywołałoby to ostre sprzeciw polityczny“. Ale nawet i w ramach nienaruszalności własności prywatnej projekt ten jest nieśmiały, nieporadny i nie obejmuje całości zagadnienia. Musimy sobie wprawdzie zdać sprawę z tego, na czym właściwie to zagadnienie polega.

80% ludności Anglii żyje w miastach i miasta te są w przynależającej większości złe. Co prawda i dziś jeszcze można znaleźć małe, leżące na uboczu miasteczka, pełne uroku i harmonii. Ale są to zawsze prawie relikwie z tych zamierzchłych czasów, kiedy Anglia była wzorem kultury mieszkaniowej i urbanistycznej dla całej Europy.

Dziś im miasto jest większe, im ważniejsze, — tym jest gorsze pod względem zdrowotnym, komunikacyjnym i estetycznym.

Krajobraz wiejski, ten słynny *English Countryside*, stanowiący przez wieki najwdzięczniejszy temat dla malarzy i poetów, niemal że przestał istnieć. Zastąpiły go „zabudowania wstęgowe“. Drogę, rozpełzły się po nim beładne przedmieścia, wdarły się weń zabudowania fabryczne, a dogorywające rolnictwo dokonało reszty.

Wszelkie dotychczasowe próby uporządkowania tego chaosu zawodziły. Wszelkie dotychczasowe ustawy służyły się tylko po powierzchni zagadnień i nie leczyły korzeni zła. Wysiłki w celu rozluźnienia zabudowy miejskiej rozbiły się zawsze o czyjeś prawo własności i o bezzilę władz miejskich. Prywatna inicjatywa zawodziła, jeśli chodziło o podniesienie stopy mieszkaniowej, szczególnie w małym rentownym budownictwie dla warstw robotniczych. Nowe „slumsy“, rudery, powstawały w tempie szybszym, niż dążono burzyć stare.

I oto teraz według życzeń obywateli i zapewnien rządu — miało się to wszystko zmienić. Plan rozbudowy miał objąć kraj cały, a ustawy miałyby uposażyć odpowiednie czynniki w daleko idące prawa rozporządzania ziemią.

Otóż ustawa obecna życzeń tych nie spełnia. Przede wszystkim rząd zsunął całą odpowiedzialność ze swoich szerokich bark na nikłe ramiona władz gminnych, których uprawnienia nie urosły bynajmniej w tym samym stosunku. Odpowiedzialność ta może się stać w większości wypadków ciężarem ponad siły. Nie państwo, jak to zalecały wnioski komitetów Scotta i Uthwatta, wykupuje obszary, objęte planem przebudowy, lecz władze gminne, które mogą otrzymać na ten cel pożyczki państwowe.

Pożyczki krótkoterminowe udzielane są na przeciąg lat dziesięciu. Przez pierwsze dwa lata są one niezwrotne, przez następne osiem — zwracane w miarę dochodów z sum inwestowanych, a nawet w poszczególnych wypadkach termin spłacenia pożyczki może być przesunięty na dalsze pięć lat.

Warunki udzielania pożyczek długoterminowych są w ogóle niesprecyzowane. „Bo — jak uzasadnia to min. Morrison — trudno przewidzieć i, co więcej, ująć w ścisłe ramy prawne rozwój miast i stosunków na przeciąg wielu dziesiętków lat“. Argument poniekąd słuszny, ale nie uzasadnia on pozostawienia całkowitej swobody interpretacji tego przepisu szeregowi przyszłych ministerstw planowania. Ponadto otrzymanie pożyczki długoterminowej przez gminę jest w ogóle problematyczne, gdyż odnośna ustawa nadaje władzom gminnym jedynie prawo ubiegania się o taki kredyt, a nie przewiduje, czy i pod jakimi warunkami musiałby on być udzielony. No, ale do tego nie była potrzebna ta rewolucyjna rzekomo ustawa. Z a b i e g a ć o pożyczki można było zawsze.

Warunki spłacania pożyczek długoterminowych są na pierwszy rzut oka wielce wspinałomyślne. Minister skarbu co pięć lat bada sprawę każdego dłużnika i wyznacza terminy i wysokość spłacanej raty w miarę dochodów, osiągniętych z danej inwestycji. Jeśli dochodu nie ma, państwo cierpliwie czeka.

Ale jeśli gmina poniosła straty? Jeżeli straty są przez długi okres czasu nie do wyrównania? Co wtedy? O tym ustawa milczy. Straty spadają całym swym ciężarem na jednostki samorządowe. A więc, jak to łatwo do przewidzenia, jednostki gminne będą się starały zaciągać pożyczki tylko na inwestycje, przynoszące pewny i szybki dochód, nie bacząc na to, czego wymaga dobro ogólnego planu. Czyli że władze samorządowe upodobnią się do przedsiębiorcy prywatnego, nie mając zresztą jego prerogatyw: giętkości i szybkości działania. A więc ustawa ta nie tylko nie usuwa zła, wynikające często z interesów prywatnych, ale popycha władze gminne na drogę, nie zawsze odpowiadającą interesom publicznym, których są przedstawicielami — na drogę szukania zysku.

Czytając paragraf 16-ty ustawy, ma się wrażenie, że rząd wskazuje równocześnie jednostkom gminnym nowe, nieznane dotychczas źródła dochodu. Mianowicie przyznaje im prawo budowania i ciągnięcia zysków z budynków warsztatowych, biurowych i innych. Miasto może np. wybudować dzielnicę fabryczną lub nowe centrum handlowe, tam gdzie zdrowy rozwój miasta tego wymaga.

Alé kiedy? Naturalnie po uzyskaniu na to zgody ministerstwa, — jak i na każdy inny krok na drodze odbudowy. Ale poza tym wtedy dopiero, kiedy okaże się rzeczą zupełnie pewną, że żaden prywatny przedsiębiorca planu tego nie wykona. Ale przecież jeśli istnieje możliwość zysku i perspektywa rentowności, zawsze znajdzie się prywatne przedsiębiorstwo, które z ochotą przystąpi do budowy. Miastu zostaną więc tylko imprezy deficytowe.

Jak więc będą sobie radziły zarządy miejskie? Po prostu, projektując najskromniejsze plany rozbudowy. Redukując do minimum powierzchnię „obszarów zielonych“, jako że nie przynoszą one nigdy żadnego dochodu. Zakładając ogrody poza obrębem istniejącej zabudowy, gdzie ziemia jest tania, a nie w gęsto zaludnionych dzielnicach, gdzie zieleńce są co prawda konieczne, ale zato kosztowne.

No i wreszcie — pozwalając na większą gęstość zaludnienia, niżby na to pozwalały, zgodnie z przyjętym obecnie postulatami, względy zdrowotne i komunikacyjne. Bo ustawa, nie ustanawiając maksymalnej gęstości zaludnienia w nowych dzielnicach, prowokuje dalszy niezdrowy rozwój miast w imię dochodowości. Dochodowości tym razem już nie tylko prywatnej własności, lecz i publicznego przedsiębiorstwa, jakim się stanie zarząd gminny.

Jak widzimy, państwo, zostawiając sobie głos decydujący, zrzuciło ze siebie całkowicie odpowiedzialność finansową. A przecież, jak to słusznie zauważył poseł Greenwood z Labour Party, „okręg, zbombardowany przez nieprzyjaciela, jest taką samą samą wojenną, jak zatopiony pancernik lub strzaskany aeroplan. Koszta odbudowy winny być więc doliczone do pozostałych kosztów wojennych. Mało one będą znaczyły dla państwa jako całości, poniesione natomiast przez władze gminne staną się dla nich ciężarem ponad siły“.

Mówimy tu cały czas o „okręgach, zniszczonych przez zbombardowanie“. Bo i tak jest w istocie. Ustawa, zamiast objąć całość zagadnienia, skurczyła się do rozmiarów *Blitz Billu*, jak ją trafnie określili opozycjoniści. Nie tylko że przekreśliła ona wszelkie możliwości rozplanowania całego kraju jako całości, ale nawet i w wąskim obrębie poszczególnych miast zezwala tylko na częściowe zarządzenie zrujnowanego, — na mizerne łatanie dziur. Miasto ma co prawda prawo roić marzenia i projektować całość planu urbanistycznego. Ale pozwolenie na wywłaszczenie dostanie tylko na dwie kategorie terenów. Przede wszystkim na obszary całkowitego zniszczenia wojennego. Poza tym na tak zwane „obszary mieszane“, częściowego zniszczenia i przestarzałe zabudowy. Zarządy gminne mają prawo składać podania do ministerstwa wyłącznie na wykup tych terenów. Dzielnice, niekniejące *Blitzem*, lecz zębem czasu, choćby najbardziej zmuszające, pozbawione urządzeń sanitarnych, o ulicach bez słońca i mieszkańach bez powietrza, choćby były niegodne ludzi cywilizowanych, — nie są nawet w obecnej ustawie wspomniane. To znaczy, że miasto nie otrzyma od ministra zgody na wywłaszczenie takich dzielnic, ani tym bardziej rządowej pożyczki na ich przebudowę.

Minister Morrison odparowuje te zarzuty wygodnym sloganem: „Pierwsze sprawy najpierw“ (*First things first*). Czyli taka „pierwsza pomoc“ budowlana. Ale czyż ta właśnie sztywna kolejność odpowiada rzeczywistym wymaganiom chwili bieżącej? I tak przecież dla zaspokojenia pierwszych potrzeb konieczna będzie szybka budowa na szerszą skalę domków tymczasowych (według dotychczasowych obliczeń na 250.000 rodzin). Tymczasem zaś tereny zbombardowane są opuszczone. Przemysł i ludność przeniosły się do innych dzielnic miasta, do innych miast, czasem nawet do innych połaci kraju i możliwe, że w wielu wypadkach nowy układ może się okazać korzystniejszy od starego. I właśnie w tych innych, niezniszczonych dzielnicach czy miastach panuje przeludnienie i od nich należałoby rozpocząć przebudowę, konieczniejszą, a nieraz i tańszą od grzebania się w rumowiskach.

Nasuwa się smutny wniosek, że ta tak długo wyczekiwana i wysniona ustawa nie tylko nie obejmuje całości zagadnienia, ale nawet nie zapewnia możliwości sumiennego wykonania nawet i tej małej części. *Town and Country Planning Bill* wywołał burzę sprzeciwów na łamach prasy angielskiej, silną opozycję w parlamencie, — lecz mimo to został uchwalony. Po prostu chwila była późna, bo zbliża się koniec wojny, a z nim fala wracających zdemobilizowanych żołnierzy. Przygotowanie nowej ustawy, dyskusja nad nią, uchwalenie — potrwałyby rok cały. Posłowie stanęli przed alternatywą: ta ustawa lub żadna. Wejdzie więc w życie i znowu rozwijać się zbudowania i „z popiołów powstaną Feniksy“, — tyle że bez skrzydeł i kulejące.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

120 PRZYGÓD KOZIOŁKA MATOŁKA

w trzech częściach, z ilustracjami

R. WALENTYNOWICZA

Cena każdej części 300 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE“, Jeruzolima

Nowość!

Nowość!

BOLESŁAW PRUS

LALKA

Tomy I — IV

Cena całości 800 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE“, Jeruzolima

JANUSZ JASIEŃCZYK

S T R A C H *

Kiedy Różański doprowadził pluton do podstawy wyjściowej i kazał drużynom leżeć w oczekiwaniu rozkazu wymarszu, strzelec Małyński przeżywał jedną z gorszych chwil w swoim życiu. Był błądy, ręce trzęsły mu się nieco, a co najgorsze, nie mógł powstrzymać gwałtownego ataku ziewania.

Z krótkiej przemowy porucznika na zbiorce, z wznagającej się na lewo kanonady i widocznego wokół przygotowań wnioskowań, że zanoszą się na wielką awanturę, całkiem niepodobną do owego „natarcia” na White Knoll, zakończonego zbiorowym pijaństwem. Dobiła go obecność generała Kopaniewskiego, którego dojrzał z daleka, wysiadającego z auta i zmierzającego w kierunku punktu obserwacyjnego Dowódcy Baonu.

Czuł się głupio. Choć leżący obok Kuryluk wyjął spokojnie papierosa i, walcząc z wiatrem, tarł o pudełko trzecią z kolei zapalniczkę, — Małyński nie wyciągnął ręki po częstunek.

Ten fakt świadczył dobitnie, że z Małyńskim nie jest dobrze. Wszak normalnie każda rozmowa zaczynała się od papierosa i dopiero spotkawszy się z odmową, dobywał swoich zapasów, a nawet częstował niekiedy innych.

Teraz nie palił swoich, nie domagał się cudzych. Słowem, był bardzo zajęty sobą: bał się.

Wzbawienie przyszło nagle i — rzecz ciekawa — nie z zewnątrz. Narodziło się w nim samym, wystrzeliło jak *deus ex machina*, wykwitło jak raca, rozświetlając drogę.

Małyński przypomniał sobie nagle, że jest szlachcikiem.

Będąc analfabetą, nie bardzo rozumiał, na czym polega szlachectwo, a już w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, jakim herbem pieczętuje się jego rodzina. Byłby w ogóle zapominał o swym szlachetnym pochodzeniu, gdyby nie ten adwokat z Warszawy, — Jasieńczyk czy Biedniarski: nigdy nie mógł spamiętać nazwiska, — było jakieś dziwaczne i do tego podwójne.

Kiedyś, na nocnej służbie, gadał długo z tym „panem” i on mu wyłożył, że Małyńscy to stara, szlachecka rodzina, później zbiedniała, żyjąca w zaściankach. Wówczas Małyński przypomniał sobie, że kiedyś ojciec przyjechał z jarmarku bardziej pijany niż zwykle i ogromnie wzruszony. Całował matkę, syna i córki i mówił o jakimś Związku Zagrodowej Szlachty, tworzącym się w Buczaczu. Pokazywał jakąś książeczkę i wymalowany w niej herb, wymyślał na chamsy i Ukraińców. W końcu złożył pasem Małyńskiego juniora i poszedł spać. Wtedy junior, popłakując z cicha, po kryjomu oglądał pod piecem malowaną z herbem.

Nie pamiętał, czy był tam topór, czy łyżka, — może rower. Zauważył tylko, że na górze wymalowany był jakiś żelazny garnek i masa piór, jakby ogon koguta. W każdym razie pojął od razu, że szlachcie — to lepszy człowiek. Później zapomniał o całym tym zdaniu, — miał dużo roboty przy świnich, w polu, w stodole. Dopiero w Tobruku, po tej rozmowie z Biedniarskim...

Teraz, przed wielką bitwą, Małyński poczuł się znowu szlachcikiem.

Uspokoił się od razu, przestał ziewać, podpełznął do sąsiada.

— Kuryluk, — rzekł niemal wyniośle, — dawaj papierosa!

— Masz swoje.

— Nie gadaj! Zapomniałem, zostały w plecaku.

Ciągnąć Kurylukowego Cravena, Małyński coraz różnie rozglądał się wokół. Coraz szersze, coraz optymistyczniej oceniane obserwacje mieszały się w jego głowie z błyskawicznymi skrótami dziecięcych wspomnień: — — — podjeżdżają pancerniki (ho, ho — jakie wielkie! pękate! — za nimi działa! — — — chałupa Wojciecha — — — ogień na kominie — — — dużo dzieci — — — o, ciągną drut od artylerii (to dobrze, naparzą Włochów) — — — organista Zakrzewski z czerwonym nosem czyta jakąś książkę — aha: *Ogniem i mieczem* — — — Zośka dębnie w nosie — — — ma otwartą gębę — — — Jadzina pochlipuje — — — głupia (pewnie przylecą Śpicfrajery — roz...lą sk...synów) — — — wuj Zakrzewski czyta o wielkich bitwach — — — Skrzetuski — Zagłoba — — — Longinus — to był wielkolud — obciął głowy trzem Beduinom — — — ale Wołodjowski był mały — — — jak ja — — — to byli ślachcie — — — nie bali się — — — o! wyruszył patrol ze Średnickim (tak zawsze przed bitwą: zabawy — — — nie, nie — aha: harce: Wołodjowski) — — — ja też jestem ślachcie — k... a mać — — — ja im pokażę...

— Naprzód! — krzyknął Różański.

Małyński zerwał się, gotów na wszystko. Z niechęcią spojrzął na Kuryluka (myśli, że ja głupi, a on co? — cham!), przepisowo pochylił bagnet i ruszył długim krokiem na swych cienkich nóżkach. Głowa zadarta, mina gęsta, — dać mu Włochów: zarżnie, zakłuje, zniszczy. A gdyby tak Niemca?

Ale do Włochów i Niemców było daleko. Małyński musiał bez wylądowania przejść około kilometra do miejsca, gdzie zapadła kurtyna ognia, dymu, ziemi, bijących zewsząd skorup, odłamków, czerepów żelaza.

*) Cztery fragmenty z 2-giej części powieści p. t. „Well Done”, osnutej na tle bitwy pod Gazalą.

Teraz biegnie na oślep, oszołomiony hukiem. Nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie wie, o niczym nie myśli. Łoskot wypłoszył wszystko, wypełnił głowę, zatkał uszy, zasłonił oczy. Nie zgasił tylko instynktu: biec, biec, wydostać się!

Małyński biegł za ciągnikiem. Wysoko, czując z zaporą, powoli odzyskiwał równowagę ducha. Najpierw czuł się, jakby dostał pałką po głowie, potem jak po szklance samogonki, — wreszcie, jak po codziennym zabiegu wychowawczym Małyńskiego seniora, który nigdy nie żałował swego rzemieennego pasa: stosował go w równej mierze do podtrzymywania swoich portek, jak do garbowania wartości synowskich.

Gdy spóźnione ciągniki dogoniły kompanię, Małyński ucieszył się bardzo: wierzył w tajemniczą moc maszyn. Poruszając się za wielkim samochodem, tuż obok długoszyjnego działka, czuł się pewnie. Nie zdawał sobie sprawy, że kule idą też z boku, — wystarczała mu osłona z przodu.

Strach, który opuścił go na podstawie wyjściowej, nie powrócił już więcej. Zastąpiła go wściekłość na Włochów i potrzeba jakiegoś działania. W uszach miał jeszcze krzyk, który doszedł go w czasie biegu przez las wybuchających pocisków: „Kapitan ranny!”, w oczach obraz padającego bezwładnie człowieka. Człowieka, który był dobry, który go nigdy nie krzywdził, i, co może ważniejsze, nigdy go nie wysmiewał.

— Utkuli Jandziha, — migało w głowie Małyńskiego, — sk...syny, chamy, łobuzy.

Czuł się osobiście dotknięty, skrzywdzony. Czuł, że musi coś zrobić, ale nie wiedział jeszcze, co i dlaczego.

— Jandziha ślachcie, — przyszła nagle myśl-objawienie, — na pewno ślachcie — ja także ślachcie, k...a: zemścę się za Jandziha.

Biegnie za ciągnikiem, nie pada, mocno ściska karabin.

Starszy sierżant, Skrobek, był także płamą. Ale płamą fałszywą. Stał się nią świadomie, dobrowolnie, niejako programowo: był przeciw „zupakiem”.

Skrobek znał wojnę: rozpoczął swą karierę w austriackiej armii, walczył kiedyś na włoskim, na rosyjskim froncie.

Walczył? To może za dużo powiedziane: brał udział w działaniach wojennych. I uczył się od mądrych ludzi.

— Wojna jest dla nas, nie my dla wojny, — zwykł mawiać w gronie najbliższych kolegów po paru butelkach wódki.

Sierżant Skrobek miał silne postanowienie, więcej nawet, postawę zasadniczą: żyć z wojny, nie dać się zabić na wojnie. Bo i po co? Rekrutów będzie zawsze dosyć, instruktorów mogłoby zabraknąć.

Starszy sierżant, Skrobek, był dobrym instruktorem. Wzorowym.

Znał dryl, musztrę, opanował świetnie wojskowe słownictwo: za pomocą paru rzeczowników, oznaczających części ciała, i licznych odmian kilku prostych czasowników, wyrażających spółkowanie, potrafił wbić w rekrutkę głowy najzawilsze tajniki militarnej wiedzy. Doskonale prowadził bojowe ćwiczenia.

Jedną tylko prawdę zatajał systematycznie w zwyczajnych wykładach o natarciu, jedną tajemnicę chował dla siebie: że bitwa — to bałagan. Że w ataku z reguły miesza się drużyny, plutony, kompanie. Że w gruncie rzeczy w pewnym momencie przyskają ramy formalne i każdy robi, co mu się podoba. Że mądry człowiek wie, kiedy i jak korzystać z zamieszania.

Sierżant Skrobek znał tę wielką prawdę bitwy i dlatego, ruszając ze swą kompanią do natarcia, wiedział z góry, że nie dotrze do okopów nieprzyjacielskich. A raczej tak: obejmie je w posiadanie, ale z pewnym opóźnieniem.

Do tego założenia stosował swoją prywatną taktykę bojową. Od początku szedł trochę wolniej od innych, nie na czele plutonu: w środku, trochę bliżej końca, prawie z tyłu. Ale nie całkiem: można by „podpaść”.

Oczywiście, gdy przyszła potężna zapora artyleryjska, Skrobek zląkł się bardzo: był przeciw tylko człowiekiem. Ale strach jego, aczkolwiek silny, nie był owym demonicznym lękiem, co jeży włosy na głowie (Skrobek nie miał ich zresztą, — był łysy).

Nie był to strach obiedny, oddawany mistrzowsko przez genialnych malarzy, aktorów, dramaturgów, paraliżujący ruchy, lub przeciwnie, zmuszający do panicznej ucieczki; strach, który, przekroczywszy pewną granicę, łatwo przeradza się we wściekłość i determinację.

Nie, bynajmniej. Strach doświadczonych sierżantów był całkiem ograniczony, praktyczny, rzecz można, przewidziany z góry jako bodziec dalszego, roztropnego działania: był to strach twórczy, niemal biogostawny.

— P...lą, k...a, jak w kaczy kuper, — mignęło w głowie Skrobka; gdy pierwsze serie wybuchów zaczęły przesłaniać pole widzenia.

— Czas na mnie.

Przycupnął w pierwszym po drodze, góracym jeszcze leju: wiedział, że nigdy dwa pociski nie trafiają w to samo miejsce. Patrzył, co robią inni. Trochę ziemi bryznęło mu na plecy, jakiś odłamek padł w pobliżu. W korytarzu pomiędzy dwoma rzędami wybuchów dostrzegł Nowosadę z podniesionymi rękami.

Do uszu dotarł zgłuszony krzyk kapitana:

— Nie! padać! Bieeegiem! bieeegieem!

— Cie go! hojraka struga! — pomyślał Skrobek i nie ruszył się z miejsca.

— Może jednak? — skorygowała pierwszą myśl druga.

Skrobek wiedział o ograniczonej elastyczności artyleryjskiej zapory. Nie łatwo skraćć ogień dokładnie według ruchomego celu, bo zapora to nie kierowane przez obserwatora strzelanie.

Zaczął biec, a raczej skakać z leju do leju. Szybko, jak mógł najszybciej, ale ostrożnie: tak doświadczony myśliwiec skacze z kępy na kępę na poleskim bagnie, — wie, że tylko kępą daje szansę utrzymania się na powierzchni.

Przypadając do ziemi, Skrobek krył głowę przed możliwymi odłamkami i modlił się. Zaczynał Zdrowaśkę, przerywał, aby skoczyć dalej, rozpoczynał na nowo. Złość na Włochów mąciła pobożne słowa, starała się wdrzeć w modlitwę wykrzykniki przekleństw. Sierżant tłumił je: sprawa była poważna, — bał się kłąć teraz.

W pewnym momencie Skrobek spostrzegł, że pociski padają coraz rzadziej, że oddział wyskakuje z zapory.

— Teraz, — przyszła myśl, jasna jak natchnienie.

Należało zwolnić. Należało zostać. Wyłączyć się. Stać się płamą.

Skrobek skakał jeszcze, ale znacznie wolniej. Przepuszczał doganiających go. Kułak na jedną nogę. Wyłączał się: upatrywał sposobnego schronienia.

Jest. Wielki dół po pocisku. Tu.

Nie wskoczył do upatrzonej dziury. Nie, — to byłoby głupio. Zwał się w nią, jakby rażony pionurem. Zrobił to pięknie, ryzykując lekkie stłuczenie.

Teraz siedzi skulony w solidnym leju. Jest już płamą. Fałszywą płamą. Zapora została z tyłu, — wojsko poszło naprzód. Jest sam. Może odetchnąć, może się uspokoić. Już nie modli się: poco? Bitwa dla niego skończona.

Opadają tumany dymu i piasku. Robi się cicho. Rzecz prosta, zaczęła strzelać z kaemów i działek. Ale to głupstwo. Tu nie sięgną, — zresztą kule idą prosto, nie mają zwyczaju zaglądać do solidnych schronów. Nie ruszają mądrych ludzi.

Wszystko w porządku. Sierżant Skrobek siada wygodnie, opiera się plecami o krawędź głębokiego leja. Odpoczywa, odpręża się, maca, czy portfel na miejscu. Wraz ze spokojem przychodzą myśli, obrazy, życzenia.

— Piwo — — — kufel dobrego piwa — — — nie: wódka, — dobra wódka nie jest zła — — — najlepsza u Lapasa — — — za murkiem — — — przy telefonie — z butelki — — — ta dziwka u Lapasa — Greczynka — co za... — — — *koiś, koiś madam — familią madam* — — — zobaczę ją, po... pożyczę się, pożyczę — — — wycofają nas przecie — — — złote dolary, kasztany — — — są kasztany, są i papierki — — — dużo kasztanów w Alex — — — schowane, jak się patrzy — — — nie zgina — — — wódka — no oczywiście: wódka.

Sierżant sięga po manierkę, ciągnie mocny rum. Ciepło, przyjemnie. Bitwa skończona. Gdy ściemni się i przestaną strzelać, trzeba będzie podciągnąć, zająć okopy. Zrobi się.

Starszy sierżant Skrobek przeliczył się nieco. A może nie? Może i to przewidział.

Gdy uniósł się trochę i wychylił z dziury, poczuł nagle lekkie ukłucie w lewe ramię, powyżej łokcia. Jakaś zbłąkana kula.

— K...a! — syknął, — niedobrze, ranny jestem.

Sierżant znał się na ranach. Szybko rozpiął płaszcz i, nie wynurzając się na powierzchnię, wygrzebał się z niego. Potem prawą ręką wyjął nóż, rozciął rękaw munduru i kaszulę. Uspokoił się. Rana była niegroźna, raczej draśnięcie. Krew sączyła się trochę, ale nie tryskała, jak to bywa przy naruszeniu tętnicy. Kość była cała, wada w rękę, choć ograniczona teraz, zachowana. Skrobek wydobyl z kieszeni bandaż i owijał zranione ramię.

Był już zupełnie spokojny. Myśli biegnęły szybko w przyszłość.

— Może i lepiej, — kalkulował. — Do krzyża się podam; dostanę, jak Boga kocham, dostanę. Choraży z Batalionu swój chłop, pomoże, — przez bufet przejdzie. Kto wie, może awans mi dadzą?

Skończył opatrunek. Leżał wygodnie na dnie wyrwanego pociskiem leju. Nakrył się płaszczem. Czeka. Jest już niemal prawdziwą płamą: ranny żołnierz na pobojowisku, — prawie bohater.

Ziemia nie trzęsie się. Rusza się tylko, a raczej prycha gniewnie drobnymi cząsteczkami swej piaszczystej powierzchni, pluje wokół grudkami, kamykami, odrywającymi się żółtymi nędznymi roślinności. Kaemy, Fiaty i Bredy rechoczą zewsząd suchym, starczym, urągłym śmiechem.

— Boi się, — myśli Kubryk, spoglądając na leżącego w pobliżu Kułaka.

— Ma pietra, — myśli Kułak, zerkając na Kubryka.

Obaj zgubili się w ciemnościach artyleryjskiej zapory, obaj zaplątali się do pierwszej kompanii, obu ogarnął krzyk Nowosada:

— Na prawo! Pierwsza za mną, — w prawo! w praaaawo!

Nie widząc w pobliżu swoich, obaj ruszyli w prawo. Razem wpadli w to piekło.

Bali się obaj.

Bali się iść naprzód, — więcej, bali się zostać. Najwięcej, — pokazać, że się boją.

— Udać, — myśli Kubryk, widząc kątem oka, że Kułak podrywa się do skoku.

— Bohatera struga, — miga w głowie Kułaka, gdy Kubryk rzuca się naprzód.

Tak to posuwali się naprzód z bagnatami w rękach, objuczeni amunicją, granatami, zmęczeni długim biegiem. Skakali od kępy do kępy, sprzężeni losem i wzajemną niechęcią.

Choć byli po imieniu, nie lubili się bardzo: strzelec Kubryk, student ze Lwowa, — kapral Kułak, chłop małorolny.

Koledzy z jednej drużyny. W Tobruku tygodniami nie gadali do siebie. Podczas ogólnych rozmów, gdy Kułak głos zabierał, Kubryk milczał lub uśmiechał się ironicznie. Gdy małomówny Kubryk, popiwszy rumu, zaczynał swoją opowieść, Kułak demonstracyjnie odchodził do schronu. Kładł się spać, był bardzo leniwy, co często wytykał mu Kubryk.

Jeśli przypadkiem jeden z nich był na służbie, drugi krył się przed pierwszym nadlatującym pociskiem, ale, gdy razem siedzieli w rowie, pochylali tylko głowy: twarze były — zda się — kamienne.

Na wycieczkę Jandziha wyznaczył Kubryka, choć Kułak był tomiganistą. Kułak był wściekły: poszedł do porucznika, potem do kapitana, — pętał się, prosił, zaklinał. W końcu wzięto i jego.

Teraz dostają szkołę. Pociski padają tak gęsto, że nie wiadomo, kiedy i gdzie skakać. Skaczą jednak.

Czasem Kułak pierwszy uniesie się lekko, — już Kubryk sunie naprzód, choć ziemia pryska, jakby podrzucana na wielkim rzescie.

Czasem Kubryk poprawia tylko pozycję, aby lepiej skryć się przed ogniem, Kułak jest już na nogach.

— Oficerem chce zostać! — myśli ze złością Kułak.

— Krzyża mu się zachciało, — zżyma się Kubryk.

Już pięćdziesiąt, może sto metrów posunęli się wraz z innymi. Ten i ów padł ranny, może zabity.

Oni nie widzą nikogo: Kułak widzi Kubryka, — Kubryk widzi Kułaka.

Spojrzenia dwóch żołnierzy krzyżują się ciągle jak nitki świetlnych pocisków, idących z włoskich pozycji, myśli ich skaczą jak kule, odbijające się od ziemi.

— Chcesz, żebym został! — bije spojrzaniem student.

— Myślisz, że się tu ze... am! — ripostuje myśl chłopca, a g... niedoczekanie!

Tak idą naprzód. Boją się. Boją się bardzo.

Niełatwo jest dowodzić kompanią piechoty, przynależącej do ziemi na przedpolu potężnie bronionej nieprzyjacielskiej pozycji. Czuje to kapitan Nowosad, leżąc na czele swych ludzi 300 metrów przed ryglowymi stanowiskami Włochów.

Potworne natężenie ognia już nie tylko uniemożliwia skoki: najbliższa zmiana pozycji ściągą na każdego z żołnierzy nowe serie pocisków.

Grudki ziemi skaczą na wszystkie strony: rzekłbyś, że ciała ludzkie zmieniały się w jakieś dziwaczne kontrmagnesy, rodmuchujące każdym ruchem okrucy piasku, kamyki i żółtą trawę.

Nowosad nie próbuje skakać, nie każe nawet uruchamiać własnych Brenów i Tomiganów: nie jest wariatem lub samobójcą. Przeciwnie, lekko odwraca głowę i woła do leżącego opodal porucznika Józwiaka.

— Kryć się! Czekać! Podaj dalej!

Czekać! Tak: czekać. Nowosad jest jeszcze przekonany o celowości czekania. Jeszcze ma w uszach powtórzony przez Kopucia na odprawie rozkaz Generała: „wsparcie zapewni piechocie Pułk Artylerii, na korzyść I-go Baonu będzie prócz tego działał dyon nowozelandzki”.

Fakt, że dotychczas nie obłożono ogniem tej włoskiej pozycji, nie deprymuje kapitana: wszak nie wiadomo o niej, została przez niego wykryta i zaatakowana przed dziesięcioma minutami. Artyleria musi przerwać ogień na inne cele, obliczyć kąty, wstrzelać się. To potrwa jeszcze chwile.

Nowosad rad jest z siebie i ze swojej kompanii.

Przed wyruszeniem natarcia miał tremę: jak zwykle przed każdym większym, a trudnym przedsięwzięciem... Jak kiedyś przed tym głupim pojedyńkiem na ciężkie szable, jak przed granicą, — jak... jak wtedy, w Zamostcu, gdy miał się oświadczyć o pannę Irenę.

Dawniej przeżywał silnie te ciężkie chwile przed akcją, — te wątpliwości, czy aby stanie na wysokości zadania: czy nie zawiedzie ręką w walce, czy zdoła iść dość cicho za przewodnikiem o parę metrów od niemieckich zandarmów, czy ona nie da kosza.

Później przyzwyczaił się. Poznał siebie. Pojął, że trema jest nieodzownym sygnałem, mobilizującym siły psychiczne, — więcej nawet: jakimś tajemniczym elementem przyszłego powodzenia.

(Dokończenie na str. 10-ej)

WŚRÓD KSIAŻEK

SUMNER WELLES

Sumner Welles. The Time for Decision. Londyn, Knopf, 1944.

Sumner Welles, zawodowy dyplomata, przed wojną, jako podsekretarz Stanu U.S.A., był specjalistą od spraw Ameryki Południowej i głównym wykonawcą Rooseveltowskiej „dobrosiedzielskiej” polityki. Czasu wojny stał się głośny prze swą podróż, przedsięwziętą w r. 1940, na krótko przed upadkiem Francji, do Rzymu, Paryża, Berlina i Londynu — celem zdania Rooseveltowi raportu z możliwości perspektyw pokojowych.

Welles jest arystokratą i do r. 1942 pannał o nim przekonanie, że w State Department reprezentuje kierunek konserwatywny. Gdy jednak na skutek nieporozumień z Cordell Hullestem, stał się nagle bohaterem amerykańskiej i angielskiej prasy lewicowej, która w jego dymisji upatrywała zwycięstwo reakcji amerykańskiej nad postępem.

Jak jest istotnie, trudno wiedzieć. W książce swej Welles nic nie mówi o przyczynach swej dymisji, a krytykę obecnej polityki amerykańskiej ogranicza do mocnego potępienia nieuznania faszystowskiego rządu argentyńskiego, co uważa za niewłaściwe mieszanie się do wewnętrznych spraw Argentyny. Z drugiej strony w przeszłości najmocniej potępia bierność Stanów wobec rewolucji gen. Franco, choć w latach 1936 i 1937 pannał raczej przekonanie, że Welles bardziej sprzyja gen. Franco niż republikanom.

Bez względu jednak na to, jaka jest osobista pozycja Wellesa, książka jego nabrała szerokiego rozgłosu, niewątpliwie wpływa na ukształtowanie się opinii amerykańskiej, tak rozpaczliwie nie znającej spraw europejskich, i dlatego warto się jej przyjrzeć.

Książka ma charakter dwoisty. Z jednej strony jest ona częściowo historią dyplomacji

amerykańskiej lat ostatnich. Z drugiej, — próbuje dać sugestię co do urzędzenia świata po wojennego. Część pierwsza jest niezwykle ciekawa, albowiem Welles, choć nie mówi wprost, co wie, mówi jednak wiele nowego. Najwięcej tego nowego materiału przynosi do stosunków z Południową Ameryką; ale są i pewne rewelacje, dotyczące spraw europejskich. Dla nas specjalnie ciekawe są rozmowy Wellesa z Mussolinim i Ciano w r. 1940 w sprawach Polski. Obaj rozmówcy zapewniali go, że jeżeli pokój będzie zawarty, to możliwe jest istnienie niepodległej Polski z dostępem do morza. Obaj jednak oświadczyli, że oczywiście może być mowa jedynie o Polsce „prawdziwych Polaków”, to jest o Generalnym Gubernatorstwie. Zabór rosyjski — to ziemie rosyjskie; zabór niemiecki z Łodzią i Poznaniem — to ziemie niemieckie. Jeżeli tam mieszkają jacyś Polacy, — to będą musieli się przesiedlić do „prawdziwej Polski”; tej Polski, dla której i Mussolini i jego żięć oświadczyli się z sympatią.

Inny jeszcze szczegół — niewesoły — opowiada Welles o Polsce. Powiada mianowicie, że na krótko przed wojną wysoki urzędnik polski „poinformował” mnie z głębokim przekonaniem, że polska kawaleria niezwykle skutecznie odrzuci napadające kolumny niemieckie.

Jeżeli idzie o przyszłość, to co do Niemiec Welles nie ma złudzeń. Nie uważa on wojny obecnej za wynik hitlerizmu jedynie, a rozumie, że jest ona wynikiem stałego niemieckiego dążenia do hegemonii nad światem.

Rozumie, że Locarno było niemieckim bluffem, i rozumie nawet, że Locarno nie tylko nie wzmocniło systemu bezpieczeństwa zbiorowego, ale — wręcz przeciwnie — osłabiło Ligę. Niemcy dla Wellesa to *Bandit-Nation*.

Dlatego też proponuje on osłabienie ich przez podział na trzy państwa: jedno złożone

z Bawarii, Wirtembergii, Hessen - Darmstadt, Badenii i Nadreni; drugie — z Hesji, Turynii, Westfalii, Hanoweru, Oldenburga i Hamburga oraz trzecie: Prusy, Meklemburgia i Saksonia. Prusy Wschodnie winny przyspać Polsce.

O Rosji Sumner Welles wyraża się entuzjastycznie. Nie ulega dla niego wątpliwości, że ściśła współpraca rosyjsko-amerykańska jest kamieniem węgielnym przyszłego porządku światowego. Nie ma wątpliwości, że Rosja szczerze chciała współpracy z Ligą Narodów, że pracowała dla pokoju. I nie ma wątpliwości, że stanie się demokracją.

O Wielkiej Brytanii pisze już trochę mniej gorąco. I stawia pewne propozycje na przyszłość, na które jest wątpliwe, by Londyn się zgodził. Nie mówię już nawet o kwestii niepodległości Indii. Ale Welles jest przeciwnikiem obecnego systemu kolonialnego. Uznaje, że są państwa, które jeszcze nie dorosły do niepodległości, ale pragnie, by los tych narodów i państw oddać w ręce grup państw. Tak więc Korea mają się opiekować Chiny, Rosja i Stany Zjednoczone. Zaś Birmania, Malaje i Indochiny winny być oddane pod łączną opiekę Wielkiej Brytanii, Chin, Australii, Nowej Zelandii i Filipin. Przy czym stolica tego zarządu winna się mieścić w — Manilli.

Co do Polski to Welles uważa, że jej granice wschodnie i zachodnie zostały wyznaczone w sposób katastrofalny; że „każdy myślicy Polak zdawał sobie sprawę z tego, że jej granice były zbudowane na lotnym piasku”; że „granice wschodnie Polski nie są świętością”.

Pan Welles uważa, że linia Curzona była słuszną, że na wschód od niej ludność polska stanowi jedynie 10% (sic!). I uważa, że trzeba sprawę wschodnich granic Polski rozstrzygnąć teraz, zaraz, nie czekając na konferencję pokojową. Prusy Wschodnie będą rekompensatą za utratę ziem na Wschodzie.

W sprawie organizacji świata p. Welles ma jedynie bardzo chaotyczne koncepcje. Oburza się na to, że w Wersalu jedynie wielkie państwa decydowały, a małe czekały w przedpokojach. Twierdzi, że w przyszłej organizacji światowej małe państwa winny mieć swój głos, potępia doktrynę hegemonii wielkich mocarstw. Gdy jednak dochodzi do koncepcji konstrukcji Rady Zjednoczonych Narodów, która — jego zdaniem — winna powstać już teraz, nie czekając końca wojny, to proponuje taki jej skład: Wielka Czwórka, dwa miejsca dla Europy, dwa dla Południowej Ameryki, jedno dla Dalekiego Wschodu, jedno dla Bliskiego Wschodu z Afryką i jedno dla dominii angielskich.

Tak samo chaotyczna jest koncepcja unii regionalnych, które Welles uważa za konieczne. Jeżeli idzie o Wschód Europy, to podaje on trzy wersje. Albo trzy unie: Grecja-Albania, Jugosławia, Rumunia i Bułgaria; Polska i Czechosłowacja; Austria i Węgry. Albo dwie unie tylko: unia bałkańska i polska, Czechosłowacja, Austria i Węgry. Albo jedna unia wszystkich tych państw plus jeszcze Turcja. Sumner Welles wie, że Rosja wrogo się zapatruje na takie unie regionalne, ale myśli, że te wrogostwo można przezwyciężyć, szczególnie że — zdaniem jego — „wydaje się, że we wszystkich tych wersjach należy uwzględnić włączenie związku Sowieckiego w całości lub części”.

Jak by wyglądała unia Środkowo-Europejska, obejmująca także całą Rosję, aż do Władywostoku; albo jakim sposobem „część” ZSRR mogłaby jednocześnie należeć do Unii Środkowo-Europejskiej, nad tym się p. Welles nie zastanawia. Bo chyba nie rozumie on tych unii regionalnych, jako wcielenie państw je stanowiących do Związku Sowieckiego.

Ta — powiedzmy grzecznie — lekkomyślność nasuwa smutne refleksje. Jekżeż bowiem przeciętny obywatel amerykański ma się orientować w sprawach Europy, skoro wybitny dyplomata, człowiek, który był jednym z kierowników polityki zagranicznej Stanów, okazuje się tak mało zorientowany.

cep.

1300 KLASYKÓW

An English Library. An Annotated List of 1300 Classics. By F. Seymour Smith, F.L.A., Chief Librarian Finchley Public Libraries. Foreword by Edmund Blunden. Londyn, National Book Council, 1944. Str. 88.

Trudno dostatecznie mocno polecić tę wielką książeczkę czytelnikowi, który chciałby wejść w bliższy kontakt z literaturą angielską i który chciałby swoją lekturę angielską zorganizować w sposób racjonalny i systematyczny.

Powstała ona, aby zaspokoić potrzeby dwóch kategorii czytelników: z jednej strony cudzoziemców, których — tak jak nas — wypadki wojenne zapędziły w kraje zasięgu wpływów kultury angielskiej, z drugiej — te wielkie masy czytelników angielskich, które właśnie teraz, w czasie wojny, zaczęły się domagać w dużo większej mierze niż przedtem lektury bardziej esencjonalnej i zaczęły chętniej czytać „klasyków”. Zjawisko to jest bardzo interesujące i na pierwszy rzut oka paradoksalne: ludzie mają przecież teraz bez po-

równania mniej czasu do lektury niż przed wojną. Tym nie mniej jest to zjawisko bardzo charakterystyczne: można je było obserwować już w czasie tamtej wojny. Wytłumaczenie znaleźć można chyba w tej okoliczności, że ludzie, żyjąc teraz dużo intensywniej, bardziej „na serio” i postawieni przez wojnę wobec szeregu zasadniczych problemów, których istnienia przedtem niekiedy nawet się i nie domyślali, żądają po prostu lektury bardziej „adekwatnej” ich nowemu stylowi życia i — sięgają do klasyków.

Ale co to jest „klasyk”? Łatwo odpowiedzieć na to pytanie w odniesieniu do pisarzy starszych, którzy przeszli już przez kityczne sity rewizji paru pokoleń. Z drugiej strony p. Seymour Smith wyliczył wszystkich, choćby najwybitniejszych pisarzy żyjących, szczerze uważając, że na epitet klasyka, podobnie jak na pomniki, za życia jeszcze za wcześnie. Ale co zrobić z pisarzami, niedawno zmarłymi? Pozycja niektórych spośród nich już dzisiaj wydaje się być pewna: zdaje się np. nie ulegać wątpliwości, że Joyce ma już dziś w porządku wizy na sam szczyt Olimpu. Ale takich pisarzy jest bardzo niewiele. A inni? Autor tych słów np. z miłym zdziwieniem znalazł na liście klasyków zmarłego przed trzema laty znakomitego (i świetnie piszącego) amerykańskiego historyka kultury, Preserved Smitha, prawdopodobnie jednak dla wielu wybór taki może się wydać dziwnym. Albo czy jest klasykiem czy też nie Stella Benson, albo zmarła w czasie tej wojny wybitna angielska historyczna pisarka, mediewistka Eileen Power? Właśnie wobec tych zmarłych wielkości literackich poprzedniej generacji opinie następnego pokolenia bywają nieraz szczególnie surowe. Ponieważ jednak nikt opinii tych przewidzieć nie jest w stanie, więc też p. Seymour Smith uciekł się tu do jedynego możliwego sprawdzianu: swoich upodobań osobistych.

Klasyków swych ujął on w działy rzeczowe, takie jak „poezja”, „esejistyka”, „powieść”, „historia”. W każdym zaś dziale uszegregował ich w porządku alfabetycznym: podał daty ich urodzenia i śmierci, przy tytułach wskazał zaś na najpopularniejsze wydania i podał ceny najtańszych z nich. Uwzględnił nie tylko pisarzy brytyjskich, ale i amerykańskich. Szkoda tylko, że pocziwie Pelicansy uważa za będące poniżej godności szanującej się książki i w ogóle pominął je milczeniem. Tymczasem — jeśli idzie przynajmniej o warunki palestyńskie — to dla takich np. książek, jak *Vision and Design* Fry’a. *Common Reader* Virginii Woolf lub *Medieval People* wspomnianej wyżej Eileen Power, Pelicansy są nie tylko najtańszymi wydaniem, ale też i jedy-nymi, dostępnymi w handlu księgarskim.

Każdy z rozdziałów poprzedza p. Seymour Smith krótkim wstępem, poza tym przy niektórych autorach pozamieszczał po kilka zdań uwag polecających, podkreślających bądź ich specjalną aktualność, bądź podnoszących szczególny urok czy satysfakcję, jaką można wynieść z ich lektury. Zarówno te wstępy, jak i uwagi są wzorem propagandy żywej, a równocześnie nie mającej w sobie ani cienia pedanterii i propagandowego natręctwa, przeciwnie, bardzo subtelnej oraz — taktownej. Oto jak np. brzmia pierwsze zdania wstępnych uwag o powieści: „Być może, iż powieść angielska, jak to twierdziło wielu współczesnych krytyków, nie znieśie porównania z powieścią rosyjską czy francuską, ale jest ona jednym z najbogatszych działów naszej literatury. Zapewne, nie posiada ona niczego tak potężnego, jak *Wojna i pokój*, ani niczego tak wnikliwego jak *Czerwone i czarne*, ale jaka inna literatura stworzyła tak wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju powieści, jak *Tristram Shandy* i *Moby Dick*? Być może, że trzeba mieć tak wspaniałą powieść za sobą, aby móc bezkarnie używać tak skromnego języka, ale niewątpliwie na czytelnika, ogłuszanego od lat propagandą, takie właśnie ujęcie sprawy musi działać odświeżająco. I wzbudzać zaufanie.

Nie łatwiejszego, jak krytykować w takim zestawieniu dobór pisarzy. Autor tych słów chciałby się jednak upomnieć o dwa — jego zdaniem — krywdzące pominięcia: jedno z nich to brak w spisie poleconych powieści Conrada jego *Nostroma*, druga to opuszczenie *Studies in Modern Biography* James’a Bryce’a: trudno chyba o drugie studium biograficzne, któreby tak doskonale trafiło w stronę sympatii z rygorystyczną troską o bezstronność oraz subtelnością i pełnią ujęcia — jak zamieszczona tam jego charakterystyka Gladstone’a.

Ułatwiają korzystanie z książki dwa solidne indeksy: autorów i tytułów. Przedmową poprzedził ją Edmund Blunden, wybitny krytyk i poeta, sam — oby w jak najdalszej przyszłości — kandydat na „klasyka”.

ww.

NOWOŚĆ!
MARIA PETRY
STRUNY
POEZJE
Cena: 250 milsów

S T R A C H

(Dokończenie ze str. 9-ej)

Przekonał się: duża sprawa — wielka trema. I wielkie powodzenie.

Nowosad wierzył w swą gwiazdę, wiedział, że nie ma pecha. Wiedział, że trema miała bezpowrotnie za pierwszym krokiem na niebezpiecznej ścieżce. Przychodzi spokój, wspaniała jasność umysłu, doskonała sprawność mięśni i zmysłów, ostry odczuć, twardość decyzji. Czasem przypuszczał nawet, że to właśnie trema wydobywa z człowieka jakimś nieznanym sposobem to wszystko, że ona wlewa w żyły przedziwny haszysz, działający tylko w chwilach niebezpieczeństwa.

Tak było i dzisiaj. Gdy kompania ruszyła z podstawy wyjściowej, niepokój opadł z niego jak mgła, porwana silniejszym podmuchem wiatru.

Idąc sprężysto na czele oddziału, był spokojniejszy niż zwykle, umysł miał jasny, czuł się zdrow, silny, niemal radosny: natarłszy wolał akumulować, zastrzyżony granat, który wybuchnie w momencie właściwym.

Pod artyleryjską zaporą nie stracił głowy: poderwał kompanię do biegu i gdy wyrwali się z ognia, stwierdził z radością, że za ledwie dwóch ludzi zostawił w polu.

Potem odkrył te stanowiska. Pojął błyskawicznie, że zagrażają całoci natarcia. Ucieszył się, że Osieczko z drugą wali naprzód, że jemu los niesie okazję pięknego manewru. Szybko ocenił się ognia, idącego z ryglowej pozycji: ze cztery działka, z pięć cekaemów.

— Dam radę, — pomyślał i zaczął zwoływać ludzi. Pchnął gońca do drugiego plutonu, który zbliżył się zbyt daleko do trzeciej kompanii.

Udało się. Nie zawiodły chłopaki, spisali się oficerowie.

Przeszło pół kilometra skakali potem sami w coraz ostrzejszym ogniu. Straty nie wielkie — dwóch, może trzech, zostało po drodze.

Tak się zaczął ten manewr, — jego manewr. Wspaniały manewr.

Teraz przywołał ich ogień: są już tak blisko, że Włosi mogli uruchomić wszystkie ręczne karabiny, — zgęścić do maximum ostrzał swego przedpola. Trzeba czekać, — artyleria przyręciła im wkrótce.

Nowosad poparł ich poczyce. Piasko leżące na brzuchu, przykładło ostrożnie twarz do kępy suchorostów i spod hełmu wpatruje się w włoskie wykopy. Gołym okiem rozpoznaje wystające nad powierzchnię hełmy, lufy działek, plujących świetną amunicją, i żąda pracujących bez przerwy cekaemów.

— Psia krew! — konstatuje w myśli, — przeliczyłem się: dwie baterie p-panców, dziesięć Fiatów. Do tego ze stu strzelców, „kabełków”. Cholerne ognie, Żebym miał ze dwa działka! Ba, choćby moździerze.

Kątem oka widzi na lewo polskie ciągniki z działkami, posuwające się z głównym trzodem natarcia. Zaczyna się niepokój.

Powoli podciąga lewą rękę wzdłuż ciała, — kule świszczą jak gupie, — spogląda na zegarek. Dziesięć po czwartej. Coś długo gązdrzą się artylerzyści. Nie może tu przecież leżeć bez końca: Włosi też mają armaty.

Wolno płyną minuty. Ktoś krzyknął z lewej strony: to Dudek, ranny w rękę czy w nogę. Artyleria nie strzela do Włochów, Włosi

strzelają bez przerwy do leżącej na otwartym polu kompanii.

Niepokój dowódcy wzrasta, pęcznieje, — już objął pół głowy, już zagląda do serca.

— Coś nie w porządku z tą artylerią, — kasa go pierwsza wątpliwość.

— Kopuć nie da nam zginąć, — odpowiada ufność.

Szczęła bez śladu radość z rozwijającego się pięknego manewru. Pewność siebie zaczyna chwiać się, — jeszcze daleko do strachu, ale już jest wahanie. Kapitan czuje się jak jeździec, co, przebywszy szczęśliwie trudny *parcours*, zwałił się na ostatniej przeszkodzie.

Myśli, uczucia, obrazy mkną pod czaszką jak w kalejdoskopie, wahają się jak na rozpędzonej huśtawce: w górę — na dół — w górę — na dół — i znów do góry.

Cały świat huczy w głowie kapitana. Zmieniają barwę odczucia, szybkie skoki uwagi na otoczenie, spadające skądś wspomnienia, skojarzenia, pomysły: biało — czarno — czerwono — i znów biało.

Ufność, niepokój, wiara i strach, — wszystko miesza się w dziką, nierozpoznawalną masę, przetykaną migawkami z przeszłości. Jedną z nich najsilniejsza, najbardziej żywa, plastyczna:

...Gzysms skalny na Kazalnicy, w Tatrach. W dolinie Białego... Twarz Ireny, — dla niej zrobił to gupstwo. To był paskudny moment. Spadła jej czapka, — piękna, futrzana. Ten duren Wirski zaczął zbiegać zakosami po zboczach. On chciał pręcej, — wprost po turni. Wprost po Kazalnicy. Szło dobrze. Zsunął się do połowy. — I potem ten gzyms. Szlaki na pół stopy, długi może na cztery. Stał tyłem, przylepiony do skały. Ani w górę, ani w dół: pułpka. Próbował bokiem: na nic. Pod nim prostopadła ściana i niżej, jakie pięć metrów w dół, na pochyłości: śnieg. Co pod śniegiem, nie wiadomo. Irena patrzyła z góry. I ta jej koleżanka, brunetka, Janka czy Wanda. Coś wołały, machały rękami. Skoczył. Udało się: śniegu było na metr, może więcej. Podniósł czapkę i wolno piął się do Reni.

— Wtedy udało się, ale teraz?

— Sanitariusz! — woła ktoś z tyłu.

Chwilami Nowosadowi zdaje się, że wszystkie światła pocisków, odbijające się, od ziemi, że wszystkie kule cekaemów i ręcznych karabinów, że wszystko, co idzie z włoskich okopów, bije w niego: rozrywa głowę, kłuje ciało milionem ostrych szpilek. Jego, — dowódcę kompanii.

Nie słyszy rechotu tysięcy wystrzałów: przerażliwa cisza, — brak wybuchów jedynie właściwych, potrzebnych tu zaraz, niezbędnych, koniecznych.

— Przyjdź, zaraz przyjdź, — rzuca się wiara na trwożę.

— Za późno, albo wcale, — krzyczy lęk.

I tak ciągle: huśtawka, — szalona huśtawka męki, bólu, niemal rozpacz i — wiary. Minuta oczekiwania powoli stąpa za minutą zawodu, — sekundy strachu pędzą za sekundami nadziei. Już piętnaście do czwartej, — szesnaście — siedemnaście.

Kapitan zaczyna się modlić. Nie słowami modlitwy, nie nędznym błaganiem o życie: namiętnym krzykiem wnętrza, zaklęciem, prawie bluźnierstwem.

Janusz Jasińczyk.

OPINIE ANGIELSKIE

Mr. Hamilton Fyfe na bezdrożach

Cytowałem niedawno książkę J. L. Hodsona pt. *Home Front* (Gollancz, 1944), dziennik korespondenta wojennego, pisany podczas rocznego pobytu w Anglii czasów wojny. Jest to doniosła książka. Bystrość obserwacji i rzetelne podejście do wszystkich problemów frontu wewnętrznego czynią z tej książki dokument pierwszej wagi o Anglii i Anglikach. Będą z niego czerpać wszyscy, którzy kiedyś zechcą poznać *their finest hour*. Ciekaw jestem, czy podobny dziennik istnieje w jakimś polskim, emigranckim kuferku. Równie bystry, wszechstronny, rzeczowy, nikomu nie kadzący i nie zakłamanym patosem pustych słów.

Tak mi się podobała inteligentna rzeczowość książki Hodsona, że gdy w parę tygodni po jej przeczytaniu zobaczyłem u mego księgarza inny dziennik wojenny, wydany przez tego samego wydawcę, kupiłem go bez wahania. Tytuł książki brzmi: *Britain's War-Time Revolution* by Hamilton Fyfe (Gollancz, 1944) a podtytuł wydawcy: *A day by day diary — a remarkably frank one — from September 1939 to December 1942*, był również bardzo zachęcający.

Tym przykrejsze było zatem moje rozczarowanie. Książka jest banalna, tendencyjna i chaotyczna. Ani jednej, naprawdę ani jednej ciekawostki, od których rola się książka Hodsona. Ani jednego faktu, który nam nie jest znany lub który mógł umknąć naszej uwadze. Gdyby nie tytuł, nie wiedziałbym, że autorowi chodzi o pokazanie tej rewolucji, której w Anglii dokonała wojna. Pełno natomiast w książce ostrej krytyki wszystkiego i wszystkich — z wyjątkiem naturalnie autora, który o sobie przy byle okazji pisze bardzo „owszem”.

Zdziwił mnie nieco fakt, że pamiętnik swój rozpoczyna p. Hamilton Fyfe 3-go września 1939 r., a nie 1-szego i że o Polsce pisze po raz pierwszy dopiero pod datą 15 września, zaczynając od słów: „Poland is finished”. Zrozumiałem jednak, gdy wglębiałem się w ten gąszcz banałów, że nie było to przypadkiem, ale raczej wynikiem jakiegoś bliżej nieuzasadnionego i dość balamutnego uprzedzenia.

10-go sierpnia 1940 r. pisze: „Nothing idiotic that any Polish politician said would surprise me...”. A 19 sierpnia 1940 r. „Polska warstwa rządząca jest beznadziejna. Wydają obecnie tutaj tygodnik, atakujący Żydów i ukarżający się na wpływy żydowskie w Anglii. Mówiono również lekceważąco o błędach, które państwa demokratyczne poczyniły przed wojną, a które dały w wyniku siłę Hitlerowi. Największym błędem było to, że dano Polsce ów czek in blanco, o którym mówił Hitler.”

Nie posadzi mnie czytelnik „W Drodze” o sympatie dla pisma „Jestem Polakiem”, najgłupszego i najbardziej dla sprawy polskiej szkodliwego wychynu naszych londyńskich oenerowców. Mam wrażenie również, że moja dotychczasowa działalność publicystyczna wystarczająco broni mnie przed zarzutem szowinizmu. Znam dobrze wady polskie. Chciałbym je naprawić, ale nie myślę ich bronić. Uważam zresztą, że mamy równe prawo do naszych wad jak i do naszych cnót. Jestem także zdania, (i tu różnie się napewno od ex-redaktorów ex — „Jestem Polakiem”), że wolno cudzoziemcom mówić o naszych wadach, tak jak nam wolno mówić o wadach angielskich i innych. Ale właśnie dlatego piętnuję idiotyczną uwagę Hamilton Fyfe'a. Uwagę, której rodowodu szukać trzeba chyba u Goebbelsa.

Geny — sekret życia

Współcześnie dokonano wielkiego odkrycia naukowego. Donosiło i które rozszcza przed nami szerokie widnokręgi. Tym razem nie w technice, ale w biologii. Mam na myśli naukę o genach i pierwszą jaskółkę jej praktycznego zastosowania: *colchicine*.

Kiedy jakieś 80 lat temu mnich czeski Mendel opisał swe doświadczenia botaniczne nad skrzyżowaniami czerwonego i białego groszku i sformułował swoją teorię dziedziczności, stał się pośmiewiskiem ówczesnego świata naukowego. Z początkiem obecnego wieku „odkryto” teorię Mendla na nowo, ale dopiero badania nad „olbrzymimi” chromozomami muszki drosophili rozjaśniły sprawę.

Zarówno w świecie zwierzęcym, jak i świecie roślinnym, żywa tkanka składa się z komórek. Każda komórka posiada swoją określoną dla każdego gatunku liczbę chromozomów. Chromozomy zawierają geny. Ciało ludzkie np. składa się z mikroskopijnych komórek, z których każda zawiera 48 chromozomów. (Wyjątek stanowią komórki spermy męskiej i kobiecego owum, które mają tylko po 24 chromozomy). Te chromozomy zawierają geny — sekret życia! Nie wiemy, wiele rozmaitych genów jest w człowieku. Drosophila — mała muszka, której olbrzymie chromozomy naprowadziły uczonych na trop genów — ma ich około 3.000. Mechanika działania genów nie jest jeszcze znana, wiemy jednak, że regulują one wszystkie charakterystyczne cechy żywych organizmów. Wiemy np., które geny muszki drosophili regulują kolor oka, rozpiętość skrzydeł, obręcz tułowia i t. p. Niszcząc niektóre geny promieniami Roentgena, możemy spowodować zmiany w kształcie lub innych cechach drosophili już w następnym pokoleniu. Te zmiany są stałe i dziedziczne. A że drosophila rozmnaża się bardzo szybko, co 12 dni jedna generacja, więc jeden rok hodowli drosophili odpowiada tysiącleciu rozwoju człowieka. Teoria ewolucji w próbie! „Siódmego dnia Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo”, a człowiek stworzył w XX wieku inne istoty żywe według swojej woli!

Prawie każda cecha dziedziczna u człowieka zależy od genów. Chwila zapłodnienia decyduje o całym przyszłym życiu. Jeśli geny, zawarte w 24 chromozomach spermy i w 24 chromozomach owum, połączą się, a z tych komórek przez podział rozrośnie się skomplikowany ludzki organizm, to geny, zawarte w owych 48 chromozomach matki i ojca, nadają życiu ludzkiemu i ludzkiemu ciału jego przyrodzone cechy: rok, w którym mężczyzna przejdzie mutację, rok, w którym wyłysieje, rok, w którym choroba dziedziczna się ujawni i t. d. Pierwszym praktycznym zastosowaniem tego odkrycia naukowego jest *colchicine*. Jest to gorzka

i trująca substancja, odkryta w r 1937 w korzeniach jesiennych krokusów. Ma ona cudowną własność pomnażania chromozomów. Roślina, do której wtarto lub której zastrzyknięto roztwór *colchicine*, podwaja mierz ilość chromozomów wszystkich swych komórek. Jest to także proces ewolucji. Przyspieszony i działający według ludzkiej woli.

Przesadzano, niestety, w prasie wyniki, jakie dawał zastrzyk *colchicine*. Rozgorączkowany reporterzy zrobili z niej cudo, które zdolne jest stworzyć gigantyczne zboże, jarzyny, owoce, kwiaty i t. p. Prawda jest skromniejsza, ale nie mniej sensacyjna.

Od lat ogrodnicy krzyżowali rośliny, aby uzyskać doskonalsze okazy. Niestety, przeważnie rośliny w ten sposób wyhodowane były jałowe. Dzięki *colchicine* możemy podwoić ich chromozomy. Każdy chromozom znajduje wówczas swoją parę i roślina będzie się normalnie rozmnażała. Zastosowano to już z powodzeniem w całym szeregu roślin z cudownymi wynikami.

Uczni dali ludzkości do rąk nowe odkrycie, ułatwiające życie i niosące ze sobą zarodki wielkiej szczęśliwości. Miejsy nadzieje, że politycy i tego odkrycia nie zdeprawują.

O kunszcie pisania

W książce naczelnego inżyniera BBC P. P. Eekersley'a p. t. *The Power Behind the Microphone* — znajduje następujące zdanie: „Zasiadłem, aby spisać własnoręcznie historię mego ży-

cia. Wziąłem to bardzo dosłownie. Własną ręką, trzymając własne pióro, napisałem pół miliona słów. Dorothy Carrington nakłoniła mnie do usunięcia 420.000. Oboje mamy nadzieję, że to co zostało, jest jasne. Jeśli tak jest, jest to zasługa Dorothy Carrington...”. A dedykacja książki brzmi: „Z nałogu mówcy piszę zdania zbyt tegie, aby były dynamiczne, i ogólniki zbyt oklepne, aby były prawdziwe. Jeśli ten mój błąd nie jest zbyt widoczny, zawdzięczam to Dorothy Carrington, która nie tylko zachęciła mnie do napisania tej książki, ale mi do jej napisania dopomogła. Jej więc tę książkę z wdzięcznością poświęcam”. Wydaje mi się, że w tych zdaniach mieści się sekret tej obfitości dobrej literatury fachowej i „poważnej”, którą tak w Anglii podziwiamy.

Wielu ludzi posiada rozległe wiadomości o sprawach, interesujących ogół. Wielu specjalistów i fachowców może opowiedzieć o rzeczach i sprawach równie interesujących, co najciekawsza powieść. Niestety, tylko bardzo niewielu ludzi umie to, co myśli czy wie, napisać w sposób zwięzły, przejrzysty i czytelny. Literacki — jak to nazywamy. Trudno! Pisanie — mimo ludzkiej łatwizny pozorów — jest sztuką, wymagającą równej umiejętności, zamilowania i wprawy co chemia, medycyna, radio, mechanika, historia, muzyka i t. d.

Dlatego zdziwiła nas obfitość literatury naukowej — a mimo to czytelnej, która rzuca się w oczy w Anglii. Byłe uczony pisze książki stylem tak prostym, tak przejrzystym i tak poprawnym, że niejeden polski literat nadziwić się nie może.

Literatura Francji wychodzi zwycięska z podziemi

Po klęsce Francji i podpisaniu zawieszenia broni przez Pétaina w r. 1940, miłośnicy kultury francuskiej z zapartym tchem oczekiwali wieści, jaką postawę zajął wobec kolaboracjonizmu intelektualny i literacki świat francuski.

Już pierwsze, „przemalowane” na pro-niemiecko numery *Gringoire'a* i stanowisko szeregu czołowych dzienników francuskich, zarówno jak głosy radia paryskiego — wyglądały alarmująco. Zle wieści zaczęły się mnożyć: Sacha Guitry przemawia przez kontrolowane przez Niemców radio paryskie, — Drieu la Rochelle „kolaboruje”, — Abel Hermant stoi przy rządzie Vichy, — Benoit również, — Henry de Montherlant wydaje cyniczną pochwałę klęski p. t. *Solstice de Juin*, można by mnożyć przykłady. Zdawało się więc, że świat myśli i ducha nie wytrzymał próby, zarówno jak nie wytrzymały jej sztabi i dowództwa... Że jesteśmy świadkami nowej „Zdrady klerków” — generalnego odwrotu pisarzy i artystów francuskich z tej zdawało się nie do pokonania moralnej linii Maginota, jaką dzieliła ów świat kultury i wolności myśli i słowa, od ponurego więzienia ducha ludzkiego, jakim stał się świat nazizmu.

Każdemu, kto znał i wielbił kulturę francuską, nie mogło się to wprost w głowie pomieścić. Cóż więc zostanie z Europy, jeśli przodujący przedstawiciele jej myśli i intelektu przejdą na stronę barbarii? To dręczące pytanie stało przed oczyma wszystkich tych, którzy — tak jak Polacy — nawet w klęsce materialnej chcieli i potrafili pozostać w aktywnym oporze i proteście przeciw przemocy najeźdźcy.

Późniejsze lata zaczęły przynosić pocieszające dowody, że sytuacja nie jest tak zła, jak przypuszczać można było początkowo. Tu i tam przenikały z Francji wieści, że organizuje się tam nie tylko zbrojna *Résistance* materialna, ale że mobilizują się siły duchowe oporu przeciw hańbie Lava-la i Déatów.

Ale dopiero dziś — po oswobodzeniu Francji — obraz rzeczywistego stanu rzeczy zaczyna być kompletny. Dopiero dziś dowiadujemy się, że oprócz zdrajców, zaprzedańców i charakterów słabych — żyły i działały we Francji umysły odważne i nie pokonane przemocą, że z tą przemocą moralną i umysłową walczyły, że za te ideały wolności myśli i ducha cierpiały i umierały. Obok ponurych fantomów zdrady, wyrosły przed naszymi oczyma sylwetki nieskalanych bojowników prawdziwej myśli francuskiej, która dziś odradza się jak Feniks z popiołów.

Jeszcze nie umilkły na ulicach Paryża odgłosy walki, a już zebrało się jedenastu członków Akademii, by z listy Akademii skreślić nazwiska tych, którzy „nie dopełnili obowiązku narodowego”, którzy zdradzili najdroższe dziedzictwo Francji — wolność myśli, którą Duhamel nazywa „pierwszą z wolności człowieka. Człowiek w uścisku jest jeszcze wciąż człowiekiem wolnym, jeśli ma przynajmniej prawo powiedzieć i napisać: „uciskacie mnie!”

Procesy Suaręza czy Lauzanne'a były ponurym widowiskiem, ale były koniecznością. Okres klęski i okupacji podzielał w intelektualnych warstwach

Powyższy cytat z książki P. P. Eekersley'a wyjaśnia sytuację. Istnieje w Anglii zawód „sub-editor’a”. Odpowiednik polskiego korektora. „Sub-editor” jest człowiekiem, który „umie pisać”. Każdy manuskrypt idzie przed drukiem do „sub-editor’a”, który go poprawia albo nawet przepisuje.

„Stop!” zawoła bardziej uświadomiony czytelnik. „Pięknie, ładnie, ale przecież to samo, kubek w kubek, było u nas. I u nas korektor poprawiał i poprawia błędy gramatyczne, ortograficzne, jezykowe. Wywała Pan otwarte drzwi!”

Niestety, sprawa nie jest taka prosta. Każdy redaktor czy wydawca wie, jakie walki trzeba staczać z autorami o najmniejszą korektę, a co dopiero o skreślenie. Każde słowo jest „najważniejsze”, każde zdanie najbardziej istotne. Artykuł, który musi się zmieścić w ramach 2.000 słów, niechodzą do redakcji jako rozprawa, licząca 10.000 słów. Wszystko jest kwestią ujęcia i rozplanowania treści i szczegółów. Ale to jest sztuka literata a nie uczonego. Jeśli uczonego to potrafi — tym lepiej! Ale jeśli nie — jak to, niestety, często bywa — to czemu drożyć się? Czyż nie lepiej, jak Eekersley, z uśmiechem pokiwując wdzięczność temu, kto w trudnej pracy pomógł?

Jeszcze jedno. I literaci miewają u nas grymasy. Przesady zaśniedziały jak ów kompleks „murzyna literackiego”. Dlaczego literat nie miałby napisać książki dla fizyka, chemika, lekarza czy nawet historyka lub polityka? Te sprawy są, mam wrażenie, prościej traktowane w Anglii. Bardziej po kupiecku. Bardziej rzeczowo.

H. S. Dominik

Francji jak wirówka, oddzielająca ziarna od plew.

Na szczęście ziarna pozostało dużo. Dziś dopiero dowiadujemy się, jak wyglądał świat literatury francuskiej w podziemiach. Dziś dopiero wiemy, kto jest autorem wspaniałego dzieła *Le silence de la mer*, które wyszło w podziemiu pod pseudonimem Vercors. Do chwili oswobodzenia nie wiedzieliśmy o tym nawet żona autora Jean'a Desvignes, że to on napisał tę książkę, która dziś zdobyła już rynek światowy, i w piwnicy na ręcznej drukarni drukował ją pod firmą *Editions de Minuit*, domu wydawniczego *Résistance*. Firma ta wydawała autorów, takich jak Mauriac, Maritain, Aragon, Eluard, Cassou, oraz poetów innych narodowości, prześladowanych przez Niemcy.

Za wydawnictwem *Editions de Minuit* stał Narodowy Komitet Autorów, grupujących takich pisarzy jak Duhamel, Valéry, Oudard, Malraux, Vildrac i inni. Grupa ta wydawała potajemnie pismo *Lettres Françaises*, którego inicjatorem i pierwszym redaktorem był młody Jacques Decour. Wykryty w r. 1942 przez Gestapo, Decour zginął rozstrzelany, ale koledy jego z redakcji kontynuował jego dzieło i pismo ukazywało się dalej.

W ciągu okupacji we Francji, jak również za drutami obozów w Niemczech i wśród emigracji — kwitła poezja francuska. Ból i wstyd klęski, rozpacz po utraceniu wolności, nienawiść do Bochów, tęsknota za Ojczyzną i groza tej najokrutniejszej z wojen — wszystko to znalazło swe odbicie w wojennej twórczości poetów francuskich. Dopiero czytając utwory poezji podziemnej, wczuć się możemy w codzienny rytm życia podziemnego ludzi z *Résistance*... Jednym z najbardziej przejmujących wierszy francuskiej poezji podziemnej jest np. anonimowy utwór, zawierający poezję — mechanika ze swą lokomotywą, którą własnymi rękami zniszczył, aby nie służyła Niemcom. Czytając te wiersze, trudno nie odnaleźć w nich analogii z naszą polską poezją podziemną. Tam jak i tu piszą nie tylko zawodowi literaci i poeci, ale i zwykli, szarzy ludzie, piszący z wewnętrznego przymusu — ludzie, którzy często nigdy przedtem ani potem już nie pisali. Tam jak i tu, poezja wytryska z najgłębszych źródeł duszy ludzkiej, szukającej ucieczki przed przytłaczającą rzeczywistością, — jest krzykiem protestu zarazem i afirmacją, że człowiek — nawet więziony, skuty, gnębiony i poniewierany — może i musi pozostać wolnym w głębi swego jestestwa.

Wśród powodzi lepszych i gorszych utworów, wybijają się poezje Aragona, z których *Crève Coeur* i *Les yeux d'Elsa* zyskały ogromny rozgłos również i poza Francją, a *Musée Grévin* uważane jest za arcydzieło poezji podziemnej. Wybił się również Pierre Eluard, którego *Une seule pensée* obiegło świat. Poeta ten nie tylko pisał w ukryciu, ale zadał sobie olbrzymi trud i ryzyko wyszukiwania najcenniejszych utworów poetów podziemnych, które wydał w dwóch antologiach p. t. *Honneur des poètes i Europe*.

Ci spośród pisarzy francuskich, którzy nie zdradzili, ani nie zalamali się, walczyli nie tylko z wrogiem zewnętrznym, z okupantem, ale również — co i trudniejsze było, i bardziej bolesne — z jadem defetyzmu, oportunistów i renegacji w łonie własnego społeczeństwa. Niektórzy z nich — jak Malraux czy poległy w walkach Maquis Jean Prévošt — brali udział w walce zbrojnej FFL. Inni — jak sam Duhamel, — walczyli na polu myśli i ducha, mobilizując i skupiając moralne i intelektualne siły oporu we Francji, pomagając pisarzom francuskim do przeżycia tego tragicznego okresu. Inni jeszcze — przebywający poza granicami kraju, jak Bernanos, Maritain i inni, wspierali swym autorytetem ruch de Gaulle'a i podtrzymywali dobre imię literatury francuskiej na obczyźnie.

We Francji samej przodowniczą rolę odegrał w czasie okupacji Duhamel. Nie darmo renegackie *Je Suis Partout* pytało wielokrotnie: „Dlaczego Duhamel przeżywa na wolności? Kiedyż nareszcie zamkną go pod kluczem?” Duhamel nie dał się nastraszyć, choć książki jego władze niemieckie umieściły na liście autorów zakazanych, choć Gestapo obrabowało jego mieszkanie, choć kilku członków jego rodziny znalazło się w więzieniu. Czynem i przykładem podtrzymywał odwagę innych, sam pracując w ukryciu i pisząc kilka dzieł, z których dwa są utworami pamiętnikarskimi.

Epuration oddziela dziś ziarno od plewy sprawiedliwie, lecz stanowczo. A ziarna tego wystarczy pod zasiew nowych pokoleń.

Ewa Mieroszewska

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”

ukazały się następujące książki:

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

TOBRUK — GAZAŁA

Str. 112 + 2 mapy + 4 zdjęcia

Cena 180 milsów.

(a NIE jak błędnie podano w poprzednim numerze: 250 milsów)

ROMAN FAJANS

WŁOCHY — 1944

Str. 132 + 1 mapa + 5 zdjęć.

Cena 200 milsów.

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach

Cena 180 milsów.

BOLESŁAW PRUS

LALKA

Tomy I — IV

Cena całości 800 milsów.

W D R U K U :

TEODOR PARNICKI

SREBRNE ORŁY

T. II

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Trzy kwestie wysunęły się na czoło wydarzeń politycznych ostatniego tygodnia: nowa ofensywa niemiecka, tragedia grecka oraz traktat francusko-sowiecki, którego tekst w tych dniach ogłoszono.

Pierwszą rzeczą, którą już dziś o tej ofensywie niemieckiej można powiedzieć, jest, że była ona niespodzianką. Niespodzianką nie tylko dla nas, ale i — co dla nas jest dopiero niespodzianką — dla głównego dowództwa alianckiego. Cechuje ją duch tego ryzykanctwa i szczerodego dysponowania własnym materiałem żołnierskim, jaki charakteryzował niemal ze wszystkie niemieckie ofensywy tej wojny.

Jej minimalnym celem musiało być unicestwienie przygotowań ofensywnych I Armii i zdobycie czy zniszczenie tego sprzętu wojennego, jaki Amerykanie dla celów swej ofensywy nagromadzili. Wiemy już dzisiaj, że Niemcy tak głęboko przeniknęli w amerykańskie pozycje, iż ten cel trzeba uznać za osiągnięty. Niewątpliwie są też propagandowe dywidendy tej ofensywy w samych Niemczech: sukces taki był gwałtownie potrzebny Niemcom, krajowi atakowanemu na trzech frontach lądowych, oraz jak długi i szeroki coraz intensywniej bombardowanemu z powietrza i stojącemu wobec perspektywy groźnej zimy.

Pytania, jakie się w tej chwili nasuwają, to po pierwsze, czy na tych sukcesach niemieckich się skończy, czy też Niemcy będą zdolni pójść dalej jeszcze, po drugie zaś, jak drogo za sukcesy te zapłacą. Ostatecznie, dotychczas bronili się z doskonałym uforyfikowanym pozycji. Teraz ofensywa z pozycji tych ich wywabiła. Tu właśnie tkwi całe ryzyko niemieckiej operacji. Alianci ponieśli na froncie I Armii klęskę, — nie ma co tego ukrywać. Ale jest to tego rodzaju klęska, która może się stać elementem przyszłego zwycięstwa. Najbliższe dni powinny już pokazać, czy się stanie.

Kryzys grecki przybrał najgorszą ze wszystkich możliwych postaci: postać chroniczną. Dziś dużo wyraźniej niż przedtem widać błędy obu, uwikłanych weń, stron, które do takiego rozwoju wypadków doprowadziły. Rząd Wielkiej Brytanii postąpił nierozsądnie, angażując się w popieranie bardzo w Grecji niepopularnego króla. Nie docenił też siły i stopnia panowania nad masami organizacji E.A.M. Okazuje się, że premier Churchill podobnie jak i w poprzedniej wojnie, tak i w tej nie ma szczęśliwej ręki do Balkanów.

Ale i w pozycji E.A.M. są zagadkowe punkty. Organizacja ta najpierw zgodziła się na czystkę w armii, przystąpiła do koalicyjnego gabinetu, zgodziła się na rozbrojenie organizacji oporu, a potem nagle trzy tygodnie temu zgodę swoją cofnęła. Dlaczego akurat wtedy? Prawdopodobnie

długo jeszcze będziemy czekali na odpowiedź na tę zagadkę.

Wydarzenia w Grecji będą miały poważne reperkusje i w samej Anglii. Partijne zawieszenie broni ma się już ku końcowi. Wszystkie znaki na ziemi Zjednoczonego Królestwa wskazują wyraźnie na to, że nastroje opinii publicznej przesunęły się tam w lewo i że labourzyści mają duże szanse otrzymania przy następnych wyborach zupełnej większości. Najpoważniejszym atutem, który konserwatyści mogli w kampanii wyborczej przeciwstawić labourystom, była olbrzymia osobista popularność, jaką sobie w czasie tej wojny zdobył w masach angielskich premier Churchill. Atut to tym poważniejszy, że labourzyści przywódcy na jego miarę nie mają. Otóż wydarzenia greckie wyraźnie wywołują kryzys tej popularności w masach brytyjskich. Może to przy nadchodzących wyborach jeszcze bardziej przechylić szalę zwycięstwa na stronę labourystów.

Impas grecki ożywił dyskusję na temat ideowych założeń tej wojny, celów, o które się przystąpiło do walki i o które się walczy dzisiaj. Możemy być z tej dyskusji tylko zadowoleni.

Ogłoszono już tekst traktatu francusko-sowieckiego. Jest to typowy obustronny traktakt sojuszu wojskowego antyniemieckiego. Uderza w nim jedno przede wszystkim, to że strony, podpisujące go nie starały się w sposób przynajmniej najogólniejszy, choćby tylko kurtuazyjnie, włączyć go w ramy jakiegoś szerszego, ogólnego układu.

Zdaje się, że gen. de Gaulle żadnych specjalnych poza tym zobowiązań wobec ZSRR nie zaciągnął. Miarą zaś żywotności samego traktatu, będzie — jak to już raz na tym miejscu wspomnieliśmy — moment decyzji po wojnie, co zrobić z Niemcami: wtedy dopiero przekonamy się, w jakiej mierze interesy francuskie i rosyjskie w wojennym świecie są zbliżone.

Tymczasem jednak traktat potrzebny był gen. de Gaulle'owi do jednego celu. De Gaulle — wina tu przede wszystkim dawnej polityki amerykańskiej — ma ciągle jeszcze kompleks ubogiego krewnego w koncercie mocarstw. Otóż traktat francusko-sowiecki pozwolił mu zasięgnąć do rękawów o traktat nowej ententy francusko-angielskiej z pewnym posagiem. Nie ulega zaś wątpliwości, że dopiero tam ten traktat będzie kamieniem węgielnym całej polityki zagranicznej Francji. Imperatyw zarówno położenia geograficznego, jak i sytuacji politycznej obu mocarstw jest tu zbyt wyraźny, aby mogło być inaczej. Tylko błędy przeszłej polityki anglo-amerykańskiej sprawiły, że droga z Paryża do Londynu okazała się tak bardzo drogą okrężną.

ww.

WSPOMNIENIA SPRZED 35 LAT

(Dokończenie ze str. 5-jej.)

poszła niebawem w zapomnienie i nie wywołała dalszych reperkusji.

* * *

Jana Łuckiewicz przez kilka tygodni później nie widziałem. Gdyśmy się wreszcie spotkali, zapytał mnie triumfująco: „A co?” — Wówczas na wpół serio, na wpół żartem powiedziałem mu, że może to, czego byłem świadkiem przed paru tygodniami, było po prostu żartobliwą mistyfikacją, zreszczenie zaś inscenizowaną przez niego, celem ubawienia się moim kosztem, oraz iż wcale pewny nie jestem, że osoba, którą tytułował on i jego towarzysze „Ekscelencją”, była istotnie tą osobistością, za którą ja podawano; dodałem przy tym, że żywię co do tego poważną wątpliwość.

Aczkolwiek Łuckiewicz może wyczuwał w moich słowach, że przez żart tylko udaje ową niepewność i wyrażam wątpliwość, jednak wziął widocznie sprawę do serca i po paru tygodniach dostarczył mi dowodów niezbitych: przywiózł ze swej nowej podróży do Lwowa fotografie metropolity Szeptyckiego w szatach pontyfikalnych, siedzącego na tronie arcybiskupim, w paliszu na piersiach oraz w mitrze arcybiskupiej na głowie i z krzyżem dwuramiennym w ręku. W postaci tej poznałem z całą pewnością gościa, widzanego przedtem w redakcji *Naszej Niwy*. Do fotografii dołączone było poświadczenie, zaopatrzone we własnoręczny podpis metropolity i pieczęć muzeum metropolitalnego, stwierdzające, że Jan Łuckiewicz jest osobą godną zaufania i upoważnioną do czynienia nabytków dla muzeum. Fotografia ta i pismo były w moim posiadaniu aż do r. 1941.

* * *

Dzisiaj, po upływie lat 35, gdy warunki polityczne zmieniły się całkowicie, gdy istnieć przestała Rosja carska i monarchia Habsburgów, — gdy oddawna nie żyje już Jan Łuckiewicz, a świeżo zeszedł do grobu metropolita Szeptycki, czuję się uprawnionym do opublikowania tego bądź co bądź charakterystycznego epizodu.

Może osoby, bliżej poinformowane, zechcą sprostować powyższą relację w tym, w czym mnie pamięć zawiodła, lub uzupełnić moje sprawozdanie pewnymi szczegółami, które nie mogły być znane mnie, jako Polakowi, stojącemu z dala od ówczesnych prądów ruchu białoruskiego czy ukraińskiego — którego *pars magna* był zmarły metropolita.

Stanisław Kościakowski

POEZJE NIEMIECKIE A. KRZEWINY

W tych dniach ukaże się tomik poezji Antoniego Krzewiny p. t. *Polsische Lieder*. Autor, Polak, urodzony na Warmii, śladem swego mistrza i nauczyciela Stanisława Przybyszewskiego pisze w języku niemieckim.

Antoni Krzewina jest autorem wydanej w Jerozolimie przed dwoma laty broszury *Tomorrow in Germany*, obecnie zaś pracuje nad dramatem *Tak się zaczęło*. Problemem tego dramatu jest psychologia narodu niemieckiego i początki hitlerizmu.

Poniżej zamieszczamy słowo wstępne do *Polskich Pieśni* pióra znanego pisarza, intendenta teatru Habima, Maxa Broda.

Kochany Antoni Krzewina,

Od dłuższego czasu już chodzi Pan ulicami Jerozolimy, tego miasta, w którym Pan spędza dni na wychodźstwie, a które dla mnie stało się ojczyzną.

I ilekroć w rozmowach poruszaliśmy temat aktualnej zawieruchy wojennej, zawsze dochodził do wspólnego wniosku, że nasze serca — niegdyś tak żywo bijące — omal nie skamieniały w nienawiści do szatańskich hitlerowców.

Uczucie to, które graniczy prawie z bezczuciowością, znalazło obecnie mocny wyraz w Pańskich nowych wierszach. Jakże pięknie, że w końcu, w szumiącym „Credo”, zrzucą Pan z siebie skostnienie, jak gdyby zrzucił Pan z siebie węzła pelzającego po piersi we śnie. Przecie wierzy Pan znów w lepszą przyszłość całej ludzkości, w pogodzenie i zbratanie narodów. Ucieszyłbym się to Pańską rękę, za ostateczne przezwyciężenie nienawiści, co zresztą w sposób wnikliwy zanalizował Pan również w rozprawce na temat przekształcenia ducha niemieckiego człowieka (Tomorrow in Germany). Lecz nienawiść i rozgoryczenie również są jeszcze potrzebne, skoro walka rozgorzała na dobre. Dlatego też odnosi się mój drugi uścisk dłoni do Pańskich wierszy bojowych, w których z równym zachwytem wspomina Pan żydowskich bohaterów warszawskiego ghetta (co nie jest jedynym Pana wierszem o Żydach), jak również polskich bojowników o wolność, w których Pan pierwszych stoi szeregiach.

Po trzecie zaś należy się Panu mój uścisk dłoni za owe subtelne i głęboko wzruszające pieśni do Haliny, postaci kobiecej o idealnej czystości, zalety prawie w dzisiejszych czasach niezmiernie cennej; tej kobiety, która Panu widocznie jest głównym źródłem natchnienia i wiary w przyszłość.

Checiałbym, aby czytelnicy niniejszych wierszy rozstali się z nimi z takim samym wzruszeniem jak i ja.

Max Brod

Tel Aviv, w grudniu 1944 r.

Plany Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce

Nowojorski Tygodnik Polski drukuje w nrze z dn. 15 października u. r. p. t. *Co Polski Instytut Naukowy będzie robił w tym roku?* wywiad z dyrektorem Instytutu, prof. Oskarem Haleckim, który przedrukujemy tutaj w niewielkim skrócie.

Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku stał się już częścią niezbędną polskiego życia na uchodźstwie, placówką o wpływie bardzo głębokim, choć jak takiej instytucji właśnie przystoi, nie wyrażającym się hucnie i hałaśliwie. Tym większym obowiązkiem jest oczywiście raz po raz przypomnieć ogółowi o tej pracy tak ważnej, a tak nie szukającej pokłasku. W poczuciu tego właśnie ciężącego na nas obowiązku zwróciliśmy się do Rektora Haleckiego, świetnego historyka, Dyrektora Instytutu, z prośbą o zapoznanie nas z programem prac, które Instytut planuje na rozpoczynający się sezon. I oto czegośmy się dowiedzieli w czasie naszej wizyty w pełnej nastroju siedzibie Instytutu przy ulicy 36-jej.

„O tym, czegośmy dokonali dotychczas, dowiedzieć się łatwo z naszych biuletynów”, — mówi na wstępie rektor Halecki, wskazując na sterety kilkusetstronicowych książek w tak już popularnej błękitnej oprawie. — „Nazwiska uczonych, którzy z nami współpracują, wykazy zebrań i konferencji, odbytych przez nas, teksty wygłoszonych w Instytucie odczytów, wykazy prac naszych członków — wszystko to pan tutaj znajdzie”. Prof. Halecki mówi to bez akcentu, ale kto pobieżnie choćby przejrzy te biuletyny, kto uczęszczał na odczyty do Instytutu, kto wie ile zabiegów, pracy zarazem twórczej i technicznej — wymagały te wszystkie dokonania, zwłaszcza na tak trudnym i zjadającym siły nowojorskim terenie — ten daje prof. Haleckiemu pełne prawo do słusznej dumy z działalności Instytutu. „W tym roku będziemy oczywiście jak i w poprzednich pracowali w poszczególnych sekcjach, wspierając, jednocząc i kontynuując badania naukowe naszych członków, zarazem jednakże chcielibyśmy wystąpić z szeregiem manifestacji, zdolnych na większą skalę zainteresować szersze koła i narzucić się opinii, którą w tej chwili szczególnie należy zdobywać dla Polski, prostując błędne o nas mniemania i wpajając w nią zrozumienie dla naszej politycznej i kulturalnej roli.

Dlatego postawiliśmy sobie w tym roku, jako pewnego rodzaju zasadę, aby organizować konferencje zbiorowe o charakterze oczywiście najpoważniej naukowym, ale związane bądź z aktualnością, bądź z różnymi przypadającymi rocznicami. Da to nam możność wyzyskać większą ilość prelegentów jak też wytworzyć na tych zebraniach atmosferę poważnej polemiki tak ważną w propagandzie i tak właściwą życiu amerykańskiemu. Jestem pewien — mówi rektor Halecki — że pierwsza nasza manifestacja, którą planujemy na 20 października — zaraz po hołdzie złożonym przez nas Warszawie — przyciągnie bardzo liczne grono zarówno polskich jak amerykańskich słuchaczy. Będzie to 10-lecie śmierci pani Curie, które święcić będziemy wraz z Columbia University, w jednym z jego audytoriów. Najpoważniejsi specjaliści, zarówno spośród Amerykanów jak i Europejczyków, zabrają głos: — prof. Bogert, prezes Międzynarodowej Unii Chemii, prof. Brillouin, znakomity uczyony francuski, prof. Świętosławski, prof. Fajans.

Przechodząc do naszych innych zamierzeń na ten sezon, mamy zamiar położyć nacisk szczególnie na prace Komisji Historii Polonii Amerykańskiej. Rozwinięciu tych prac poświęcony będzie zjazd, który odbędzie się w dniu 27 października w Orchard Lake. Chcielibyśmy szczególnie podkreślić — mówi prof. Halecki — że Polonia nasza odnosi się z niezwykłym zainteresowaniem do działalności Instytutu a szczególnie do tego, co robi Komisja Polonii.

To zainteresowanie wspiera bardzo wydatnie nasz oddział lokalny w Chicago, którego *spiritus movens* są prof. Pawłowski, Mrozowski i Skłodowski. Odbędziemy w najbliższym czasie uroczystą inaugurację tego oddziału, połączoną z bardzo ważnym zjazdem poświęconym odbudowie nauki polskiej. I jeszcze jedno zebranie — dodaje rektor — które teraz szczególnie jest ważne i na które tłumnie napewno stawia się Polacy. W końcu października jeszcze — będziemy mieli obchód 100-lecia Politechniki Lwowskiej.

Poza oddziałem w Chicago mamy też i inne oddziały lokalne w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie; o ich działalności czytał Pan napewno w biuletynie, — przypomina mi prof. Halecki; — wszystko wskazuje na to, że w tym roku będą one jeszcze wydatniej pracowały, licząc jak zresztą zwiększa się jeszcze, gdyż prof. Lednicki, mianowany profesorem w Uniwersytecie Kalifornijskim, zakłada oddział w Kalifornii; z naszych delegatów w Brazylii, Madrycie i Peru mamy też bardzo dobre sprawozdania.

Jeżeli chodzi o wydawnictwa, to swego rodzaju pomnikiem będzie wydanie 500-stronicowego tomu przekładów Mickiewicza wraz z obszernym i oryginalnym studium o poecie prof. Noyes'a. Będzie to dla nas okazją do spełnienia bardzo serdecznego obowiązku złożenia hołdu prof. Noyes'owi, tak niezwykle zasłużonemu dla wiedzy o Polsce w tym kraju. W czasie Bożego Narodzenia, które jest datą urodzin Mickiewicza, odbędzie się z tego powodu uroczyste zebranie w Instytucie.

Pytam prof. Haleckiego o inne wydawnictwa, choć Bogiem a prawdą, już to sam o biuletyn pomyślał — jest planem przyniosącym chlubę nauce polskiej na uchodźstwie i pracy Instytutu. Ale okazuje się, że wyjął poza tym i inne patronowane przez Instytut książki, między innymi dzieło prof. Kota *Ideologia Arian Poliskich* i prof. Gorczyńskiego *Porównanie klimatu Europy i Ameryki*. Prof. Halecki kończąc mówi: „To wszystko”. Mówi ze skromnością człowieka, który ogarnia cały ogrom zadań ciężących na naszej intelektualnej emigracji, który świadomy jest wielkiej odpowiedzialności nie tylko wobec ambasady, reprezentujących tak straszliwie ograbioną i poranioną naukę i sztukę polską. To jednak, co nam powiedział o Instytucie i czego mi nie powiedział, a co wiemy o jego pracy niestrudzonej uczonemu, mówcy, obrońcy praw Polski, pełnego odwagi, ognia a zarazem taktu i świętej formy naukowej — pozwala nam powiedzieć, że „To wszystko” jest to wszystko, co dalo się w tej dziedzinie zrobić, i napewno po stokroć więcej niż ktokolwiek inny, na miejscu prof. Haleckiego zrobić by zdołał.

Z prasy obcej

Perspektywy wojny z Japonią

Londyński tygodnik *The Economist* w numerze z dn. 28 listopada, w artykule p. t. „Wewnętrzna strefa Japonii” w następujący sposób ocenia perspektywy wojny z Japonią:

„Pomyślnie lądowanie amerykańskie na Filipinach otwiera nową fazę w wojnie na Pacyfiku. Potężne wojska alianckie usadowiły się na wewnętrznej linii obrony Japonii. Lądowanie świadczy o przynajmniej przewadze w powietrzu i na morzu, jaka jest po stronie admirała Nimitza i gen. MacArthura. Łącznie z powodzeniami brytyjskiej Czternastej Armii i wojsk gen. Stilwella w Birmie, oznacza ono, iż wojska alianckie zwycięsko idą naprzód na głównych frontach przeciwko Japonii”.

Mimo to — tłumaczy autor artykułu — optymizm, wywołany tymi sukcesami, jest w kołach alianckich umiarkowany. Są one bowiem zrównoważone przez poważne sukcesy Japończyków w Chinach; sukcesy te zaś mogą poważnie zaciążyć na całym przebiegu wojny na Pacyfiku:

„Rzut oka na mapę pokazuje, do jakiego stopnia główne działania alianckie na Dalekim Wschodzie — lorda Louisa Mountbattena kampania w południowo-wschodniej Azji, głównie w Birmie, i kombinowana ofensywa na Pacyfiku admirała Nimitza i gen. MacArthura — to jeszcze różne różne akcje. Przez pewien okres czasu mogą się one jeszcze rozwijać, nie zahaczając o siebie... I zwycięstwo na żadnym z tych frontów nie będzie decydującym krokiem na drodze do ostatecznego pobicia Japonii. Skradzione posiadłości imperialne zostaną odebrane, ale Japonia będzie nadal w tym samym położeniu, w jakim była w r. 1941.

Zawiasami, dokola których obie operacje się obracają, zawiasami, które pozwolą im zamienić się z odbierania terytoriów, leżących na peryferiach, na bezpośredni atak na Japonię, są Chiny. I w te zawiasy właśnie Japończycy uderzają obecnie...”

Drugi koniecznym ogniwem wiążącym ofensywę na Pacyfiku a klęskę Japonii jest wybrzeże chińskie. Lądowania i przyczółki, ustanowione tam, umożliwiłyby zbudowanie poważnych baz dla bombardowania miast i ośrodków przemysłowych japońskich i dla zmasowanego ataku do ostatecznego mactaricia. Ale, celem nowej ofensywy japońskiej jest właśnie zagwarantowanie, iż wtedy kiedy będą czynione próby lądowania, Japończycy będą robili honory domu”.

Japończycy już dzisiaj poważnie liczą się z ewentualnością utraty zdobytych krajów strefy zewnętrznej. Dlatego, mimo to że na Malajach i w Indiach Holenderskich dysponują niemal że całą światową produkcją kauczuku naturalnego, na wielką skalę przystąpili do produkowania u siebie kauczuku syntetycznego. Podobnie, mimo iż posiadają wielkie pola naftowe w Indiach Holenderskich, zakładają u siebie fabryki benzyny syntetycznej. Rezerwy ludzkie, jakimi dysponują, są olbrzymie (74 miliony ludności wysp japońskich, 23 miliony Koreańczyków, 43 miliony ludności Mandżurii). Prawda, ich produkcja stali jest osiem razy mniejsza od produkcji Stanów Zjednoczonych, ale zato z Osaki czy z Nagasaki jest dużo bliżej na fronty niż z Pittsburga czy z Chicago, czy z Birminghamu. Prawdziwą piętą achillesową wojennej gospodarki japońskiej jest budowa okrętów. Rozumiejmy też, że nie potrafią dorównać Sprzymierzonym w ilości wyprodukowanych samolotów: dlatego — podobnie jak Niemcy — produkują przede wszystkim myśliwce, a niemal że zaniedbali produkowania bombowców.

„Zupełna przewaga aliancka na morzu i w powietrzu nie pozostawia żadnych wątpliwości co do ostatecznego rezultatu. Jedynie czynnik czasu — kiedy przyjdzie zwycięstwo? — jest kwestią, podlegającą dyskusji. Tutaj decydującą będą walki na lądzie. Nie jest rzeczą prawdopodobną, aby typem tego ataku było masowe lądowanie w Japonii z baz na Filipinach i wyspach Mariannach. Trzeba najpierw zdobyć kontynent. Zdobycie to dostarczyłoby rozległą bazę lądową dla takiego masowego ataku. Samo w sobie zresztą złamałoby ono kregosłup japońskiego wysiłku wojennego”.

Operacja taka nie jest jednak łatwa i zajmie prawdopodobnie wiele czasu. Sytuacja zmieniłaby się zasadniczo dopiero wtedy, gdyby także i Rosja przystąpiła do wojny z Japonią. Autor podnosi, iż ostatnio ton artykułów *Wojny i klasy robotniczej* jest nieprzyjazny dla Japonii. W *Prawdzie* ukazała się niedawno recenzja z rosyjskiej powieści historycznej p. t. *Port Artur*, w której mowa jest o Port Arturze, jako o cząstce rosyjskiego dziedzictwa. Autor rozumie co prawda, że „nie można budować polityki na aluzjach i artykułach literackich”, ale sądzi, że ta zmiana tonu jest „znamienna”.

Książki nadesłane do Redakcji

Connaissance de Paris. Beirut, Service des Oeuvres Françaises, 1944, I — II. Str. 80 i 81 (I) i 152 i 81 (II).

Joseph Czapski. Lettre ouverte a Jacques Maritain et François Mauriac. Bez miejsca i roku. Str. 16.

Indio-Polish Association. Quadricentennial Celebration of Nicolas Copernicus, Founder of Modern Science. Text by Maryla Falk. Calcutta, 1944. Str. 60 i 16n. ogłoszeń.

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, tom 61. Bolesław Leśmian. Przygody Sindbada żeglarsza. Powieść fantastyczna. Ilustracje: K. Domańska i A. Drwęska. Jerozolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 245 i 3n.

Liberté 44. Chant patriotique. Paroles de E. M. Oliver. Musique de C. Coupel. Beirut, 1944. Str. 6n.

W najbliższych numerach zamieścimy dalszy ciąg reportażu *Ksawerego Pruszyńskiego* z walk w Normandii p. t. „Wspomnienia normandzkie”.

Numer niniejszy został zamknięty w d. 25 grudnia 1944 r. Na przyszłość pismo będzie się ukazywało tak jak dotąd w dniach 1 i 16 miesiąca.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

W dniu 13 stycznia 1945 r. odbędzie się w Haifie w sali Histadrutu

RECITAL FORTEPIANOWY

MARIIBAR

W programie:

Schumann — Fantazja C-dur
Trzy miniatury
Chopin — Nokturno G-dur
Mazurek
Walc,

Ravel — Ondine
Jeux d'ux

Albeniz — Cordoba,
Verdi-Liszt — Rigoletto.